KTO KOMU DOLAŁ

BARIERA wyobraźni

STR. 3

CZYM JECHAĆ DO TUSZYNA? STR. 7

OD „PYGMALIONA" DO „PYGMALIONA" STR. 6

STR. 10

MAGAZYN STR. 12

# ODGŁOSY

ROK XIX NR 6 (948) 5 LUTEGO 1976 r. CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

## REKOMENDACJE

Program rozwoju kultury na lata 1975-1990 jest tematem, o którym mówi się wiele i nie raz publicyści będą do niego wracać. W bieżącym numerze „Odgłosów" red. Jerzy Wilmański punktuje pewne sprawy zawarte w oficjalnym dokumencie Ministerstwa Kultury i Sztuki. Zwolennicy talentu Zofii Lorentz znajdą natomiast całą stronę poświęconą tej autorce z okazji Jej jubileuszu.

W ciekawym reportażu Jacek Indelak opowiada, jak to na carskie komnaty chcieli się dostać i o wielu innych faktach i spostrzeżeniach.

Zagadnienie poprawy jakości produkcji omawia Krzysztof Pogorzelec w swoim stałym felietonie-komentarzu, pisząc m.in. „Wydaje się po prostu, że jednym z najważniejszych w tej chwili problemów jest przeskoczenie pewnej bariery psychologicznej wykształconej przez całe minione 30-lecie, a sprowadzającej się do jakże silnego preferowania ilości z równoczesnym przymykaniem oka na jakość".

W bieżącym numerze „Odgłosów" kibice przeczytają na pewno z zainteresowaniem dalszą część materiału z walki Muhammada Aliego z Georgem Foremanem. Jest także kolejny odcinek z cyklu Centrum tajnego frontu pt. „Zerwana nić".

W grudniu ub. roku pracownicy sajgońskiej służby bezpieczeństwa przeprowadzili rewizje w kilkudziesięciu domach należących do najbogatszych — głównie chińskich — rodzin w stołecznym rejonie Szolon. Tak rozpoczęła się kampania, która objęła cały kraj. O dalszych wydarzeniach i ich następstwach dowiecie się z artykułu Jerzego Czecha.

W bieżącym numerze „Odgłosów" znajdą Czytelnicy poza tym wszystkie stałe pozycje: felietony, informacje książkowe, program telewizyjny, recenzje oraz „Magazyn" z „Miniaturami" Henryka Czarneckiego.

## REPORTAŻ ZAGRANICZNY

JACEK INDELAK

# JAK CHCIELIŚMY DOSTAĆ SIĘ NA CARSKIE KOMNATY

**Nie bardzo mogłem pojąć, że ludzie przychodzą wieczorem, żeby przestać noc całą na deszczu czy zimnie, ustawiwszy się w karnej kolejce, stojącej lub „siedzącej" na składanych rybackich stołeczkach. Nie wierzyłem, że aż tak potrafią zabiegać o bilety na sztukę teatralną lub symfoniczny koncert.**

**Nie bardzo mogłem pojąć, że jest to zjawisko powszechne, a nie zdarzający się od przypadku do przypadku run na określony utwór czy wybranych wykonawców. Nie mogłem pojąć, aż pewnego niedzielnego przedpołudnia nie zabrał nas Saszka Moisiejew do podleningradzkiego Pietrodworca, czyli niegdysiejszego Peterhoffu, chcąc pokazać nam muzealne wnętrza carskiego pałacu.**

### 1.

Ziąb okrutny, mgła i mżawka. A tu pod długą ścianą XVIII-wiecznego pałacu piotrowskiego mrowi się kilkusetosobowy tłum. Przestępują z nogi na nogę, papierosy palą, śmieją się, żartują. Nikt się nie denerwuje, nikogo nie niecierpliwi długa kolejka do... bądź co bądź... muezum.

Przeciskamy się przez ten tłum. Docieramy w końcu pod jedno z pałacowych wejść, a tu szklane drzwi zamknięte na głucho.

**— Przed chwilą weszły trzy grupy, trzeba poczekać** — informuje Saszę początek kolejki.

Saszka nie daje jednak za wygraną. Stuka raz po raz w szybę, aż wystukuje babuszkę-woźną, która burczy coś pod nosem na temat współczesnej młodzieży. Na wyjaśnienia, że Sasza chciałby dwójce zagranicznych turystów — tj. mojej żonie i mnie — pokazać pałac — reaguje woźna pytaniem:

**— A bilety mieliście zarezerwowane? Mamy już komplet zgłoszeń. Tłok będzie do końca dnia. Możecie poczekać, ale nie wiadomo, czy uda wam się doczekać...**

Rezerwacji, oczywiście, nie mamy, ale Sasza ma w garści mocny argument. Wyciągnął legitymacje „Intourista", w którym pracuje jako przewodnik. „Intourist" — wiadomo: taki radziecki „Orbis", tyle że bardziej ekskluzywny, bo zajmujący się wyłącznie obsługą międzynarodowego ruchu turystycznego.

Mamy za sobą sympatię kolejki.

**— Chcę obejrzeć, niech wchodzą, ostatecznie tylko dwie osoby!**

Ale babuszka lekceważąco spogląda na Saszyny atut.

**— No i co z tego?! Porządek musi być! Trzeba było wcześniej zamówić. Gdyby tak wszyscy... — w tym miejscu tłumią jej narzekania zatrzaśnięte drzwi.**

Spogląda Saszka na nas spode łba. Tfu, taka porażka! Schodzimy stromymi schodami Wielkiej Kaskady, której 70 fontann tworzy pluszczący i łaskoczący baldachim u podnóża pałacu.

**— Co za baba!** — mruczy Sasza. — **Swoją drogą, zawsze mówiłem, że bilety za tanie. Co to jest 30 kopiejek...**

— Nie martw się, Sasza — mówię. — To przecież nie my mamy rację... Przecież sam dobrze wiesz, że gdyby wstęp do muzeum kosztował nawet i rubla, pewnie i wówczas tłok byłby nie mniejszy. Ostatecznie, sto dziesięć milionów zwiedzających tysiąc sto pięćdziesiąt radzieckich muzeów — to statystyczny fakt, nie wymagający komentarzy.

**— Masz rację** — przytakuje Sasza. — **Wściekły jestem po prostu, że nie mogę pokazać wam pałacu. Zwłaszcza że pałac ten, jak i większość naszych zabytków zwiedza się na trochę innej zasadzie niż, powiedzmy, wasz Wilanów. To nie tylko skutek upowszechnienia kultury, masowe rozbudzenie „duchowych", potrzeb, powszechny pęd do obcowania ze sztuką i historią. To jeszcze coś...**

### 2.

Wiem, co teraz Sasza powie. I będzie to stwierdzenie słuszne. Że ludzie, którzy zwiedzają takie obiekty, jak pałac w Pietrodworcu, jeszcze czegoś tu szukają, często nie do końca uświadamiając sobie: czego właściwie.

Szukają satysfakcji.

Wyziera ona najwyraźniej z twarzy uczestników wycieczek kołchozowych, którzy pieczołowicie wycierają nogi u drzwi, a potem śmiało, wręcz demonstracyjnie „szagają" za próg. Są na

Dalszy ciąg na str. 5

## PROBLEMY

JERZY WILMAŃSKI

# PROGRAM ROZWOJU KULTURY

**O programie rozwoju kultury na lata 1975—1990** mówiło się i mówi sporo i nieraz jeszcze publicyści wracać będą do tego tematu. Dlatego tylko w charakterze sygnału pragnę wypunktować pewne sprawy **zawarte w oficjalnym dokumencie Ministerstwa Kultury i Sztuki.**

Z konieczności będzie to obraz zarówno skrótowy jak i dotykający głównie problematyki kulturalnej Łodzi. Tak więc do najpilniejszych zadań resort zalicza m. in. **rozbudowę i modernizację warsztatów, magazynów i zaplecza oper w Warszawie, Poznaniu i Łodzi.**

Jak wiadomo **Teatr Wielki w Łodzi** jest placówką w zasadzie najnowocześniejszą spośród trzech wyżej wymienionych. A jednak konieczność modernizacji jest tu niewątpliwa i podnoszona od lat. Tak to jednak jest, ponieważ cykl budowy całego obiektu rozciągnął się w minionych latach tak niezwykle, że już u progu zakończenia budowy pewne rozwiązania były bądź niedoskonałe, bądź niewystarczające.

Wniosek z tego oczywisty. **Wielkie inwestycje** (nie tylko zresztą kulturalne) **warto planować z większym rozmachem, z wizją na dziesiątki lat naprzód.**

Taki właśnie dokument, dotyczący upowszechniania plastyki, oparty o perspektywiczną wizję, powstaje w resorcie w roku bieżącym. Ministerstwo wespół z **Muzeum Sztuki w Łodzi** i teoretykami sztuki opracuje dokument o potrzebie, zakresie i formach działania krajowego ośrodka dokumentacji sztuki współczesnej. Ośrodek stanie się wkrótce niezbędny dla koordynacji i racjonalnego wykorzystania dorobku plastyki zarówno w kraju jak i za granicą.

Perspektywy rozwojowe rysują się także dla teatrów. Wspomniany program resortu przewiduje korektury rozmieszczenia placówek teatralnych z uwagi na zmiany w rozwoju poszczególnych aglomeracji i w strukturze demograficznej.

Jeśli chodzi o **teatry młodego widza** to przewiduje się stworzenie trzech takich scen — w **Warszawie, Krakowie i Łodzi.** Ponadto we wszystkich większych ośrodkach miejskich, a w pierwszym rzędzie w **Warszawie, Gdańsku, Łodzi, Krakowie i Katowicach** zostaną wybudowane centralne magazyny dekoracji, według typowego opracowania pro-

Dalszy ciąg na str. 3

# KULTURA

# KRÓLIK Z KAPELUSZA

Nauczycielka z Piotrkowa zwierzyła mi się z kłopotów, jakie ma z młodzieżą nie odróżniającą imitacji od oryginałów. Rzecz dotyczyła tzw. zjawisk kulturalnych. „Placówki", „Faraona", „Nocy i dni" już się nie czyta, tylko ogląda. Nawet wysłużone przedwojenne bryki wyszły z obiegu. Fabułę chwyta się z seriału, a „myśli główne" przerabianego utworu dopowiada samemu.

Imitacje utworów literackich nie są wynalazkiem kina, ani telewizji. Były wcześniej, ale dziś — żaliła mi się nauczycielka — imitacje podaje się w formie kuglarskiej, wielkie słowa wyjmuje się z kapelusza, jak króliki — jak króliki z kapelusza żonglera.

Ekranizacje wybitnych dzieł naszej literatury w większości, na szczęście, nie przypominają królików z kapeluszy, ale wszystko zależy od tego, kto to robi, jak i dla jakiej publiczności. Nie w tym rzecz, aby królików nie wyciągać z kapeluszy, miejscem odpowiednim dla takiej zabawy jest cyrk, a cyrki, jak wiadomo, i przed wyrobioną publicznością też się produkują. Chodzi jednak o to, aby wyciągając królika, nie udawać, że się wyciąga lwa, bo w to nikt nie uwierzy, ani w Wólce, ani w Piotrkowie.

Imitacje bywają bardziej atrakcyjne od oryginałów, szczególnie telewizyjne; świetni aktorzy, reżyser, scenograf, potrafią stworzyć drugie życie powieści, czasem ciekawsze od pierwszego. Ale co zrobić z partaczami imitacji? Z nieudaną produkcją falsyfikatów, słowem z bublami kulturalnymi? Nieudanego żonglera wyleją z cyrku, znajdzie sobie inną posadę, np. może być kelnerem, z talerzami poradzi sobie łatwiej niż z królikiem w kapeluszu. Ale co zrobić z instytucjami produkującymi buble kulturalne?

Nauczycielka z Piotrkowa mówiła mi o kuglarstwie niezamierzonym, a więc żałosnym. Było w jej wypowiedziach wiele goryczy.

— Czy — pytała mnie — w Łodzi produkują się teatry objazdowe? Czy widziałem, jak grają?

Owszem, produkują się, widziałem.

— I co pan na to?

Niełatwe pytanie. W Łodzi jest duży wybór, żaden teatr objazdowy nie wytrzyma konkurencji z teatrami miejskimi, ale też nie każdy spektakl każdego teatru można pokazać w prymitywnych warunkach.

— Więc po co się pokazuje złe spektakle np. w Piotrkowie? Złe, to znaczy źle grane.

Zgodziłem się z nauczycielką. Naprawdę nie wiem, po co się to robi. I następne pytanie:

— Czy można tzw. publiczności niewyrobionej pokazywać źle grane sztuki? Czy od tego, dziś, w dobie telewizji, ułatwień komunikacyjnych, należy zaczynać edukację teatralną? Od prezentacji zmanierowanego amatorstwa?

Myślę, że już nie można. Myślę, że dziś nigdzie nie można grać byle jak. Buble kulturalne winny być traktowane na równi z innymi bublami. Nie należy kupować, ani oglądać.

Słowo prowincja — szczególnie w określeniu „prowincja kulturalna" — jest już anachronizmem. Kina w całym kraju korzystają z jednego repertuaru, biblioteki także są nieźle zaopatrzone, teatr telewizji jest powszechnie dostępny. Nie mówiąc już o płytach, prasie i radiu. A mimo to, z uporem godnym lepszej sprawy, niektóre instytucje kulturalne wyciągają króliki z kapeluszy, chociaż nie dzieje się to w cyrku.

Upowszechnianie kultury przez lat trzydzieści owocowało zwiększonymi wymaganiami. To, co jeszcze dziesięć lat temu było oryginalnym przeżyciem, nowością, dziś — całkiem słusznie trąci nudą. I klasyków czytamy inaczej, i na płótna Malczewskiego patrzymy inaczej. Tych zasadniczych zmian zdają się nie dostrzegać niektóre instytucje kulturalne. Jeszcze funkcjonują tu i ówdzie rozdzielniki i sprawozdania typu: w roku budżetowym 1975 zaliczono: pięć spotkań z pisarzami, osiem spektakli teatru objazdowego, dwie wystawy plastyczne itd.... Nie jestem przeciwko sprawozdawczości, liczyć trzeba — żeby wiedzieć i pamiętać — możliwie wszystko. I książki wypożyczone, i bilety do kina, i gazety, i spotkania autorskie. Ale te liczby — w odniesieniu do zjawisk kulturalnych — fałszują, i o tym nie wolno zapominać, nie wolno zapominać szczególnie działaczom kulturalnym. Liczba wypożyczonych książek nie świadczy o liczbie czytelników, zresztą, jakich książek? A co mówi liczba odbytych spotkań z pisarzami? W tym roku też będzie maj, będą dni oświaty i kultury, i do Zarządów Okręgowych Związku Literatów Polskich posypią się zamówienia.

„Zapraszamy na wieczór autorski pisarza..... (w miejsce wykropkowane wpisać nazwisko i imię) w dniu..... o godz.....".

Pisemko podpisze odpowiedzialny za upowszechnianie kultury pracownik dużego, albo mniejszego zakładu pracy. Rzadko się zdarza, żeby zainteresowany podał bliższe dane odnośnie pisarza, którego chciałby zaprosić. Trzeba jeszcze zadbać, żeby przyszła „frekwencja" i zagaić spotkanie możliwie nie przekręcając nazwiska pisarza. Do rocznej statystyki to wystarczy.

Grafomanię — w znaczeniu bubla kulturalnego można uznać za stosunkowo najmniej szkodliwą, gdyby jeszcze nie była kosztowna. Myślę o cenie papieru i o produkcji książki. Grafomania sprzedana w miejsce literatury jest groźna. Daje zły przykład, a nie każdego kształcić należy wyłącznie na złych przykładach, wiedzą o tym najlepiej pedagodzy. Zresztą grafomania publikowana, jest u nas w zaniku. Osobną sprawę, nie mieszczącą się w ramach tego felietonu, są wielonakładowe publikacje przyczynkarskie, z wybranej dziedziny wiedzy, tak dokładnie wybranej, że nikt nie chce tych publikacji kupować.

Królik w kapeluszu nie czuje się dobrze, na estradzie też nieszczególnie, ale ma prawo pocieszać się nadzieją, że po seansie dostanie liść kapusty, a może sałaty.

Żeby zachęcić statystycznych oglądaczy seansów z królikiem — niestety, nie w cyrku — funduje im się nierzadko bilety, ogłasza konkursy, recytacje, inicjuje dyskusje. I zapomina, że ten sam, z trudem zwerbowany widz z Piotrkowa, na spektakl teatru objazdowego z własnej, nieprzymuszonej woli, jedzie do Łodzi, albo Warszawy, tłucze się po nocy pociągiem, aby obejrzeć spektakl Hanuszkiewicza czy Dejmka.

Królika z kapelusza też trzeba umieć wyjmować. Trzeba znać technikę wyjmowania, posiadać to, co się nazywa zręcznością, sprytem. I trzeba jeszcze wiedzieć, kiedy to się robi, w jakim momencie. Widz w cyrku ma pełne prawo spodziewać się, że przynajmniej jednego królika, a może i kilka ptaszków, zmieści kapelusz żonglera. Widz w cyrku oczekuje na ten radosny moment, i nie przeszkadza mu wiedza o przedmiocie — tzn. pewność, że z kapelusza żongler wyciągnie królika.

Widz teatru objazdowego może sztukę przeczytać kilkakrotnie, może ją znać z lektury szkolnej, ale to, co mu pokaże teatr i jak to zrobi, będzie dla niego zaskoczeniem, niestety, na ogół nie radosnym.

STEFAN KUBICKI

# TELEWIZJA

## PROPOZYCJE PROGRAMOWE

**CZWARTEK, 5. II. — program I:**

12.25, 16.40, 20.15, 23.25 — XII Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Innsbrucku oglądać będziemy w transmisji z biegu zjazdowego mężczyzn a dalsze programy w Studio Olimpijskim (kolor).

21.05 — „WYDANIE SPECJALNE" — film sens.-kryminal. prod. USA.

22.20 — W PEGAZIE m. in.: fragmenty aktualnie realizowanych widowisk Teatru Telewizji, a listy widzów, nawiązujące do ostatniego „Sam na sam" z Jerzym Antczakiem, będą punktem wyjścia do pytania: jak wyobrażamy sobie telewizyjną dyskusję?

**Program II:**

17.40 — „NADZIEJA PERU" — taki tytuł nosi reportaż filmowy Stanisława Jaworskiego, który towarzyszył grupie geologów poszukujących rudy na terenach podzwrotnikowych dżungli (kolor).

**PIĄTEK, 6. II. — program I:**

16.40, 20.15, 22.25 — XII Zimowe Igrzyska Olimpijskie (kolor).

20.45 — „POŚLUBNY DZIEŃ" — film muzyczno-poetycki, zrealizowany w formie ballady.

23.15 — PIOSENKI EDITH PIAF w nowych przekładach.

**Program II:**

20.20 — „JUTRO SOBOTA" — W ZAMKU. W programie wystąpi m. in. Jerzy Waldorff i prof. Stanisław Lorentz.

**SOBOTA (wolna), 7. II. — program I:**

12.55 — XII Zimowe Igrzyska Olimpijskie — transmisja z konkursu skoków w Seefeld (kolor).

15.15 — STUDIO 2 — tradycyjny blok programowy wolnych sobót. Wśród nowych propozycji: Spotkanie z Aleksandrem Bardinim „Kino Amatorskie", „Uczmy się języków — polskiego również" oraz dwa filmy sensacyjne: „Strzały w Dogde City" i „Martwy sezon". Blok w całości zrealizowany w kolorze.

**Program II:**

15.35 — Filmowa wersja 3-aktowego baletu Aleksandra Głazunowa pt. „RAJMONDA" (kolor).

18.25 — GODZINA prof. Juliana Pałki, rektora warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych.

**NIEDZIELA, 8. II. — program I:**

12.20, 14.10, 20.15, 22.40 — XII Zimowe Igrzyska Olimpijskie (kolor).

16.00 — „KRZYSZTOF KOLUMB", II odc. ser. filmu prod. hiszpańsko-włoskiej.

18.05 — „PROGI I BARIERY"

21.05 — Nowy 5-odc. serial prod. angielskiej „NANA", oparty na głośnej powieści Emila Zoli. I odc. pt. „AKTORKA".

**Program II:**

17.10 — „OPERACJA TRUST" — I odc. filmu TV ZSRR.

22.30 — W „Przeglądzie twórczości telewizyjnej Adama Hanuszkiewicza" wznowione będą „SONETY I MONOLOGI HAMLETA" w wykonaniu Władysława Krasnowieckiego i Adama Hanuszkiewicza.

**PONIEDZIAŁEK, 9. II. — program I:**

16.40, 20.15, 22.30 — XII Zimowe Igrzyska Olimpijskie (kolor).

21.05 — Teatr TV wystawi spektakl pt. „TYLKO BEATRYCZE" wg powieści Teodora Parnickiego. Wśród wykonawców: Zdzisław Wardejn, Zbigniew Zapasiewicz, Mirosław Gruszczyński, Joanna Sobieska (powt. w programie II — 10. II., godz. 21.35).

**WTOREK, 10. II. — program I:**

16.00, 20.15, 22.25 — XII Zimowe Igrzyska Olimpijskie (kolor).

21.25 — „TRZECIA GRANICA", odc. III pt. „ZATARTE ŚLADY" — film ser. TVP (kolor).

**Program II:**

18.10 — W programie cyklicznym „MALARSTWO I FILM" wyświetlone zostaną dwa filmy: „Chimera na polnej drodze" w reż. Kazimierza Muchy — o Jacku Malczewskim i „Stanisław Wyspiański" w reż. Stanisława Sapińskiego.

**ŚRODA, 11. II. — program I:**

16.40, 20.15, 23.25 — XII Zimowe Igrzyska Olimpijskie (kolor).

18.40 — „ANATOMIA SUKCESU".

21.05 — Western pt. „MAJOR DUNDEE" (kolor).

# DWA PRZEŻYCIA

Poniedziałkowy wieczór spędzony przed telewizorem był czasem rzadkiego w tym miejscu przeżycia. Dwa spektakle, jeden fabularny, a drugi dokumentalny, podjęły próbę ukazania elementarnych prawd egzystencji — ludzkiego bólu i cierpienia, ludzkiej samotności w obliczu dramatycznego losu. Myślę o sztuce Stanisława Stampfla „Kundel" i o reportażu z cyku „Świadkowie".

Stampfl opowiada historię chorego staruszka umieszczonego przez najbliższą rodzinę w przytułku i ukazuje na tym przykładzie społeczną atrofię uczuć, moralną degradację i obojętność na cudze życie. Jest to zatem fabuła z cyklu „opowieści wigilijnych", w literaturze wielokrotnie powtarzana i emocjonalnie zużyta. Jednakże autor „Kundla" potrafił jej przywrócić humanistyczną godność i tak zarysować jej ludzki sens, aby uniknąć niebezpieczeństw zarówno oklepanej publicystyki jak i melodramatycznego banału. Udało mu się to dzięki doskonałemu warsztatowi — poczucie psychologicznej prawdy przedstawienia wynika tutaj z kunsztu realistycznego dialogu, z maestrii w konstruowaniu wiarygodnych mikrosytuacji doskonale spointowanych, wreszcie z umiejętności dramatycznego operowania rekwizytem. Czyli tych wszystkich cnót dobrego Kammerspielu i piece bien faite, które służą teatralnej iluzji i stwarzają świat fikcyjny na obraz i podobieństwo świata prawdziwego. Ostateczny pozór prawdziwości prowokującej wzruszenie telewidza pochodził od wytrawnej i bezbłędnej gry aktorskiej Tadeusza Fijewskiego i Henryka Borowskiego, którzy idealnie potrafili wcielić się w role pensjonariuszy domu starców.

Podkreślam tutaj celowo warsztatowy i niejako techniczny perfekcjonizm ostatniego przedsięwzięcia Teatru TV tylko po to, aby zwrócić uwagę i opisać program dokumentalny następujący po nim, gdzie poprzednie wzruszenie wywołane fikcją nagle staniało, gdyż zostało zastąpione doznaniem płynącym z bolesnego dotknięcia autentycznego życia. Kontrast emocjonalny między tymi dwoma programami stał się tym bardziej oczywisty, że oba poruszały nieomal ten sam temat i apelowały do tych samych uczuć.

Źródłem reportażu o dziewczynie poszukującej matki, która porzuciła ją nieomal tuż po urodzeniu był znany program Mariusza Waltera „Świadkowie". W tym miejscu muszę wyznać, że sama zasada tego programu, abstrahując od jego bez wątpienia pożytecznych i namacalnych skutków społecznych, budzi we mnie mieszane uczucia. „Świadkowie" czerpią swą siłę widowiskową z autentycznych ludzkich dramatów, często powikłanych, nierzadko wręcz tragicznych. Otóż w tej próbie zorganizowania telewizyjnego spektaklu na żywej prawdzie ludzkich życiorysów wystawionej na widok publiczny czai się podejrzana dwuznaczność moralna. „Świadkowie" budzą szczególny opór wtedy, kiedy prawdziwe łzy zostają niedyskretnie obnażone, a bohaterowie niektórych prezentowanych spraw prowadzeni usłużnie przez autorów przekraczają wąską granicę oddzielającą, to, co społeczne od tego, co prywatne i intymne. Mówiąc wprost „Świadkowie" w moich oczach nazbyt często stają się seansem psychicznego ekshibicjonizmu. Z takim też przekonaniem oglądałem kilka miesięcy temu tę dziewczynę, której TV miała dopomóc w rozpoznaniu tajemnicy własnego pochodzenia. I oto teraz jestem świadkiem podróży młodej kobiety zagłębiającej się w labirynt własnej biografii. W tym przedziwnym śledztwie, które tylko życie mogło wymyślić towarzyszy jej reporterka z kamerą, podpatruje reakcje, wysłuchuje zwierzeń. Obserwuję cudzy los naznaczony piętnem tragicznym niczym los mitycznego Edypa. Reportaż jest wstrząsający poprzez maksymalny obiektywizm, skrajnie beznamiętną rejestracją trudnego procesu dochodzenia do okrutnej prawdy. W jego trakcie odsłania się ponura i groźna rzeczywistość społeczno-obyczajowa, ujawniają się prawdziwe motywacje ludzkiego okrucieństwa. Moment spotkania córki z wyrodną matką, która zostawiła kalekie dziecko jest porażający poprzez swoją zwyczajność.

Oglądając i przeżywając ten zapis czyjejś tragedii nie potrafiłem wyzwolić się od wyżej zasygnalizowanych wątpliwości. Nie jestem pewien, czy film ten powinien powstać, ale jednocześnie nie jestem pewien, że nie powinien powstać. Po prostu nie wiem.

Oto dwa obrazujące ten sam problem przekazy — fikcyjny i autentyczny, a jednocześnie dwie skale przeżycia, sugestii i refleksji. Pierwszy naśladujący życie, drugi wyrastający z niego. Pierwszy wzrusza, drugi wstrząsa. Ale za jaką cenę?

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

# ZA TYDZIEŃ W „ODGŁOSACH"

— fragment książki **Wacława Bilińskiego** — „Targi",

— reportaż **Józefa Potęgi** z Japonii o tym, jak Japończyk kocha bliźnich.

— o historii kina, które narodziło się przed 80 laty, o filmie „Nietolerancja" i o tym, czego potrzeba współczesnej Łodzi filmowej piszą między innymi prof. **W. Jewsiewicki** i dr **M. Łukowski**,

— **Tadeusz Klimaszewski** opowiada o tym, jak Łódź przemysłowa pracowała dla frontu,

— **Wiesław Jażdżyński** zajmuje się naszym bliźnim — Kowalskim,

— ostatni fragment relacji **Normana Mailera** z walki bokserskiej,

— fotoreportaż **Włodzimierza Parysa** z relacji filmu „Daleko od szosy",

felietony, recenzje „MAGAZYN".

# PROSZĘ O GŁOS!

## W SPRAWIE PASKA PCV

W niedzielę ukazały się te porady dla gospodyń domowych w „Głosie Robotniczym", a w poniedziałek odwiedzili mnie ci dwaj panowie w sprawie płytek PCV. W niedzielę red. Janka pisała, że my: to znaczy gospodynie domowe — marnujemy społeczne dobro w postaci nadmiernego zużywania gazu, wody i prądu. Bardzo się przejęłam uwagami red. Janki, bo we wszystkim miała rację. Jakby to globalnie obliczyć, to na pewno wynik okaże się zastraszający. I niby takie maleńkie prywatne, domowe marnotrawstwo: a to, zamiast napełnić zlew gorącą wodą, dodać „Ludwika" i zmywać tłuste naczynia, to my, gospodnie domowe rach ciach odkręcamy kurek od gorącej wody bieżącej z elektrociepłowni i ta woda cieknie, cieknie, cieknie sobie, a my pod tą cieknącą wodą dopiero zmywamy.

Albo takie gotowanie wody na herbatę. Nalewamy pełny czajnik wody, a potrzebna nam tylko szklanka herbaty. I woda się marnuje niepotrzebnie, no, a przede wszystkim gaz. Morze gazu wypala się dla zagotowania jednej szklanki wody na herbatę. Postanowiłam więc jako gospodyni domowa nalewać odtąd do czajnika tylko i wyłącznie po szklance wody, no i w ogóle zastosować w życiu codziennym wszystkie porady red. Janki.

Ale następnego dnia, w poniedziałek, przychodzą do mnie ci dwaj panowie od płytek PCV. Muszę bowiem wyjaśnić, iż właśnie skończył się dwuletni okres gwarancji na moje spółdzielcze mieszkanie i ci panowie przyszli w ramach gwarancji usunąć usterki. A raczej usterkę. Jedną, w postaci piętnastocentymetrowego paska płytki PCV który to piętnastocentymetrowy pasek płytki, na tzw. „sztukowaniu" przy progu, pękł i połamał się.

Miałam wprawdzie więcej usterek niż ten fragment paska, ale były to usterki, albo „nierealne", albo już „przegwarantowane". Co to znaczy, może wyjaśnię, usterki nierealne? To są takie usterki, które tylko wariat — lokator by reklamował. Na przykład: krzywo wmontowane drzwi, takie w lewo skos. To jest właśnie usterka nierealna, chociaż drzwi niewątpliwie krzywe: który jednak lokator przy zdrowych zmysłach zgłosi w ramach gwarancji krzywe drzwi, chyba taki, który chciałby widzieć swoje mieszkanie rozkute przez trzy tygodnie. Wątpliwe, zresztą, czy taka nierealna usterka komisja w ogóle przyjęłaby do reklamacji. Ja na przykład miałam w poprzednim mieszkaniu krzywe ściany i podłogi, różnica w pionie wynosiła ponad dwadzieścia centymetrów, ale byłabym przecież wariatką, gdybym w ramach gwarancji zgłaszała krzywe ściany do wyprostowania, prawda? Więc to są właśnie te usterki nierealne. A przegwarantowane, to są takie, na które okres gwarancji był krótszy niż dwa lata, o czym lokator nie wiedział, bo niby skąd miał wiedzieć — dowiedział się natomiast przy zgłaszaniu tychże usterek. U mnie kontakty „wyszły" ze ścian, i emalia w zlewie co nieco się wytarła, pewno na skutek zbyt częstego mycia proszkiem Javox, ale i na kontakty i na zlew gwarancja też „wyszła". I tylko ten pasek płytki został na pocieszenie zatwierdzony uroczyście do wymiany przez komisję.

No, i ci dwaj panowie od wymiany płytek przyszli, po trzech miesiącach od zgłoszenia reklamacji, ale przyszli... przełożyć mi cały korytarz. Zamiast paska. Więc ja im powiadam, że chodzi przecież o ten jeden, jedyny, malutki pasek przy progu. A oni, że nie. Oni muszą — po pierwsze — zerwać całość płytek w moim, prawie szesnaście metrów kwadratowych, liczącym korytarzu, aby następnie — po drugie: założyć w tym szesnastometrowym korytarzu nowe płytki, żeby — po trzecie: wymienić przy okazji ów piętnastocentymetrowy pasek płytki PCV, ponieważ — po czwarte: nie dobiora teraz koloru, więc po piąte: muszę iść na całość.

Najpierw myślałam, że to ja zwariowałam. Potem myślałam, że to oni zwariowali. Oni tymczasem wyraźnie myśleli, że to ja zwariowałam: nie chcę korzystać z okazji, nie chcę dostać za darmo nowych, pięknych w kolorze płytek. A teraz myślę, że ani ja nie zwariowałam, ani oni: i myślę, że chciałabym, aby red. Janka udzieliła porady praktycznej, jak się ma zachować marnująca ciepłą wodę bieżącą gospodyni domowa w sytuacji jak powyżej, i w ogóle myślę sobie, że dobrze by było, aby kompetentne czynniki nadrzędne przeprowadziły kontrolę w sprawie tego piętnastocentymetrowego paska płytki. Bo myślę jeszcze, że taka kontrola przyniosłaby nieoczekiwane efekty, ponieważ myślę na koniec, iż mój pasek nie jest wyjątkiem, lecz regułą. Reguła czego? Marnostrawstwa? Czy nadużycia?

EWA OSTROWSKA
(gospodyni domowa)

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI.
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI EWA NURCZYŃSKA KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI TADEUSZ SZCZEPAŃSKI.

# OKO NA GOSPODARKĘ

KRZYSZTOF POGORZELEC

## KTO KOMU DOLAŁ?

Niby to właściwie drobiazgi, a człowieka przysłowiowa krew zalewa; pocierasz jeden patyczek — trzask i nic. To samo z drugim, trzecim, czwartym i wreszcie któryś tam z rzędu daje ogieniek. W duchu myślisz, że mimo wszystko łatwiej chyba było tym, co zamiast zapałkami posługiwali się krzesiwem, przypominasz sobie wszelkiego rodzaju „odkrywcze" pytania — za 10 zł — co się nie spaliło w magazynie, którego resztki gdzieś tam dogorywają? (Odpowiedź — za 10 zł, jak to zaznaczyłem — skrzynia zapałek. W tym miejscu należy jeszcze dodać nazwę któregoś z rodzimych producentów tego skądinąd potrzebnego drobiazgu).

No, ale dosyć chyba żarcików, chociaż — przynajmniej ja tak sądzę — i o sprawach skomplikowanych, istotnych, także z gatunku społeczno-gospodarczych, niekoniecznie trzeba zawsze mówić ze śmiertelną powagą i stąd się też wziął tutaj ten zapałczany przykład, z którym chyba każdy z nas miał do czynienia. Poza, oczywiście, małoletnimi, jako że „zapałki w ręku dziecka to pożar". Na szczęście — nie zawsze.

To byłoby na tyle. A w ogóle to nieprzypadkowo tak wiele mówi się dziś w naszym kraju o problemie j a k o ś c i, traktując ten czynnik jako niezmiernie istotny i ciągle, niestety, mało wykorzystany element rozwoju ekonomicznego.

I w tym miejscu pewna dygresja, ale mam nadzieję — bardzo „á propos". Otóż, nieco na przekór intencji pod auspicjami której chadza na łamach „Odgłosów" ten gospodarczy felieton — komentarz, chciałbym potrzebę, nie k o n i e c z n o ś ć polepszenia jakości nie tylko zresztą wyrobów powstających w przemyśle, właśnie o d e k o n o m i z o w a ć. I nie będzie to bynajmniej podcinanie gałęzi, na której — powiedzmy — siedzę.

Ale — do rzeczy.

Przyznaję więc na przykład, że miło zrobiło mi się na sercu, kiedy w jednym z największych londyńskich magazynów handlowych firmy „M and S" dostrzegłem specjalnie wydzielone stoisko reklamujące się takim oto anonsem: **„Tutaj tylko kryształy z Polski"**. I nic więcej. Było to równoznaczne w umownym języku reklamowym ze stempelkiem: **„Najwyższa jakość"**. To samo uczucie miałem wtedy, gdy w rozmowie z człowiekiem „tamtejszym", a zajmującym się lokowaniem wyrobów polskiego przemysłu włókienniczego na rynku brytyjskim, padło stwierdzenie: **„Konkurencyjnymi jesteśmy nie tylko ceną, ale jakością roboty, wzorami. Możemy to nawet już teraz w sensie finansowym wykorzystywać"**. Jestem pewien, że takie wrażenia nie były i nie są tylko moim udziałem. Wiele milionów Polaków każdego roku wyjeżdża poza granice kraju i kiedy tam właśnie spotyka się z dobrą opinią o naszych produktach, ma poczucie własnego przecież sukcesu, jakoś się lepiej czuje, szczególnie pośród tzw. „społeczeństw o wysokiej konsumpcji" — jak to teraz eufemicznie się powiada. Krótko mówiąc — tam, gdzie jeśli nawet nasze towary sprzedawaliśmy, to w najlepszym razie w postaci lekko przetworzonych półproduktów, a najczęściej po prostu surowców, co nie jest ujmą, ale największych korzyści nie przynosi.

No i co — czy takie odczucia można klasyfikować w kategoriach ekonomicznych, a jeszcze bardziej upraszczając — finansowych? Jest przecież w tym i coś z psychologii, doznań składających się na przekonanie, iż potrafimy robić jeśli nie tak samo dobrze jak inni, to niekiedy nawet lepiej. Nie bagatelizowałbym i takich czynników w kształtowaniu dynamicznego rozwoju kraju.

I w taki to sposób znowu wróciliśmy na krajowe podwórko, do tego wszystkiego co się składa na potrzebę możliwie szybkiego dokonania poprawy standardu, jakości produktów wytwarzanych przez naszą gospodarkę. Ale znowu — czy tylko do problemów ekonomicznych?

Otóż właśnie — nie. Wydaje się po prostu, że jednym z najważniejszych w tej chwili problemów jest przeskoczenie pewnej bariery psychologicznej wykształconej przez całe minione 30-lecie, a sprowadzającej się do jakże silnego preferowania i l o ś c i z równoczesnym przymykaniem oka na j a k o ś ć. Naturalnie, taka sytuacja miała swoje uwarunkowania gospodarcze, ale w równym stopniu społeczne. Ilość oznaczała zaspokojenie bardzo wielu zaniedbań, dokonania postępu w warunkach życia. Nie tak dawno „Życie Gospodarcze" napisało: **„Zmora bubli i powstanie swoistej tolerancji dla partactwa to bardziej może psychiczny niż materialny koszt szybkiego uprzemysłowienia naszego kraju. Industrializacji dokonywanej rękoma setek tysięcy ludzi, którzy poza ofiarnością niewiele z sobą przynieśli, którym brakowało nawyków pracy starannej i których do wyższej jakości pracy niezbyt dopingował istniejący system ocen wyników ich działalności. System preferujący to, czego brak odczuwano najbardziej. A brakowało wszystkiego, preferowano zatem ilość"**.

No, właśnie. Jeszcze przecież dziś mało kto z tych, którzy oczekują na nowe mieszkanie, nie weźmie upragnionej „decyzji" tylko z tego względu, że drzwi do łazienki trzeba zamykać przy pomocy „silnej grupy", a potencjalny nabywca „Fiata 125 p", choć wie, że z tą jego blachą mogłoby być coś niecoś inaczej, poczeka, aż przemysł spełni swoje zapowiedzi polepszenia ochrony antykorozyjnej. A teraz z innej beczki: niedorozwój sfery usług sprawia, że hydraulik-fuszer wciąż może uchodzić za fachowca i jest wziętym „specem", a panienka w biurze podróży może sobie pozwolić na arogancję wobec amatora już nawet nie wycieczki zagranicznej, lecz miejsca w wagonie sypialnym.

*Foto: Archiwum*

Jednak — było nie było, trzeba też pomówić o kosztach tej sytuacji, no bo wszystko daje się przeliczyć na złotówki. No więc: straty poniesione przez naszą gospodarkę z tytułu wadliwie wykonanych wyrobów szacowano w roku 1971 na dosyć „okrągłą" kwotę blisko ośmiu miliardów złotych, w roku 1974 pozycja ta oscylowała w granicach 11 miliardów, a tylko w pierwszym półroczu ubiegłego roku nasi producenci spartaczyli wyroby wartości 6.100 milionów złotych. W moim notatniku znalazłem jeszcze jedną liczbę. Otóż, łódzkie przedsiębiorstwa budowlane tytułem kar za niewłaściwą jakość zapłaciły pokaźną — przyznacie — sumkę 400 milionów złotych. I — biorąc nawet poprawkę na znaczne zwiększenie rozmiarów produkcji, udział tego, co nie wywołuje w nas zachwytu jest w oczywisty sposób zbyt wielki.

Powiedziałem przed chwilą, że nie wywołuje to zachwytu w NAS...

No, właśnie. Tutaj chciałbym zaprezentować swoim ewentualnym Czytelnikom pewną tezę, która — obawiam się — może wywołać ich sprzeciw. No, ale niech będzie!

A teraz pytanie — też za taką samą cenę jak poprzednio, czyli tanie, za 10 złotych: jakimi słowami kibice kwitowali wiktorię odniesioną przez team Kazimierza Górskiego nad Holendrami w meczu chorzowskim? **„Ale MYŚMY im dolali!"** Potem przyszła porażka z tymi samymi Holendrami i wtedy... Ano, właśnie, co wtedy powiadał „vox populi"? Bardzo krótko i lapidarnie: **Patałachy, PRZEGRALI.** Można z tej przecież autentycznej dykteryjki wyciągnąć ciekawe i dające się uogólnić wnioski: Jeśli sukces — to **MY**. Jeśli solenne baty — to **ONI**.

Taką sytuację łatwego utożsamiania się z sukcesem i odcinania się od klęsk można również przenieść na stosunki panujące w wielu krajowych zakładach, na stanowiskach wytwórczych, w biurach, placówkach usługowych, wreszcie — wszędzie. Jeśli sukces — nawet złożony z sumy wysiłków nie zawsze równorzędnych, to **MY**, jeśli „produkcja nietrafiona" krzywe okno, wybrakowana lodówka — to inaczej: **ONI**.

— To znaczy — KTO?

Właśnie.

# PROBLEMY

## PROGRAM ROZWOJU KULTURY

Dokończenie ze str. 1

jektowego. Magazyny te połączone zostaną z bazami transportowymi.

Wiadomo, że ogólny stan techniczny większości obiektów teatralnych jest wysoce niezadowalający, podobne kompleksowe rozwiązania są więc z pewnością racjonalnym wyjściem z owego technicznego impasu placówek teatralnych.

Nie zapomniano także w programie rozwoju, o takich dziedzinach jak estrada i cyrk. M. in. **Łódź pozostanie jednym z najsilniejszych ośrodków sztuki estradowej** obok takich miast jak **Warszawa, Katowice czy Kraków**. Ze względu na duże zapotrzebowanie na imprezy cyrkowe sukcesywnie będą te programy wprowadzane do hal widowiskowych **Katowic, Wrocławia i Łodzi**. Dotychczas — jak wiadomo — **cyrk w Łodzi** egzystuje tylko latem i to gdzieś na peryferiach miasta. W nadchodzących latach **programy cyrkowe uzyskają prawo wstępu do łódzkiej Hali Sportowej**. I słusznie.

W planie nakładów inwestycyjnych **przewiduje się budowę nowego gmachu Muzeum Sztuki w Łodzi**. Ogółem w pięciolatce 1976—1980 resort przewiduje na cele inwestycyjne nakłady w wysokości prawie 260 milionów złotych. Obejmą one również rewaloryzację budowli zabytkowych przeznaczonych na nowe placówki muzealne.

Aczkolwiek program ministerstwa nie precyzuje tego wyraźnie, **mamy nadzieję**, że z tej sumy skorzysta także w pewnym stopniu nowo powstałe **Muzeum Historii Łodzi**.

Reasumując, program rozwoju kultury zakłada rozbudowę ośrodków kultury **w każdej z nowych gmin i miast z uwzględnieniem doświadczeń eksperymentalnych gminnych centrów kultury, jakie powstaną w latach 1976—1980**. System nowych instytucji kulturalnych w skupiskach wiejskich i małomiasteczkowych ma za zadanie wyrównanie warunków życia kulturalnego i warunków startu młodzieży. Oznacza to w najbliższym pięcioleciu silny rozwój sieci księgarskiej, unowocześnienie i wzbogacenie bibliotek oraz rozwój samorządnych form działalności kulturalnej. Towarzyszyć temu będzie budowa pierwszych nowoczesnych, wielofunkcyjnych centrów kulturalnych, jako ośrodków wzorcowych, łączących funkcje rekreacji, rozrywki, uczestnictwa w kulturze oraz możliwość uprawiania twórczości amatorskiej. W drugim pięcioleciu (1981—1985) rozpocznie się wyposażanie nowych centrów kulturalnych i sieci domów kultury w najbardziej nowoczesne urządzenia wideofoniczne, a przede wszystkim pomoc w wyposażeniu szkół zbiorczych w te innowacje. Dążyć się musi do uatrakcyjnienia instytucji kulturalnych — zwłaszcza za pośrednictwem szkoły — do zdobycia odbiorców nowych form kulturalnego uczestnictwa oraz ukształtowania rozwiązań zgodnych z ogólnymi założeniami kultury socjalistycznej w tak konkretnych sprawach, jak wzory mieszkania, wypoczynku i pracy oraz prestiżu poszczególnych zawodów. To zadanie wychowawcze wiąże się organicznie z zadaniem równoczesnego kształtowania trzech podstawowych środowisk życia społecznego: **miejsca zamieszkania, środowiska pracy i miejsc odpoczynku.**

*Foto: Archiwum*

Zadaniem ważnym już dzisiaj, które nabierze znaczenia w latach przyszłych, jest **zespolenie** — w wyniku przyjęcia wspólnych zadań — **działań instytucji resortu kultury, związków zawodowych oraz prasy, radia i telewizji w dziedzinie kształtowania społecznego audytorium kultury.** Oznacza to potrzebę programowania treści ideowych, inspirację środowisk twórczych oraz podyktowaną celami społecznym' preferencję kierunków i propozycji artystycznych. Konsekwencją tego będzie paląca **potrzeba uporządkowania stanu kadr w kulturze i dla kultury**, a zatem uporządkowanie sprawy płac, podniesienie statusu i prestiżu społecznego kadr kultury, podwyższenie kwalifikacji tych kadr, aby mogły sprostać obowiązkom pedagogów kulturalnego wychowania społecznego.

JERZY WILMAŃSKI

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## BARIERA WYOBRAŹNI

**Człowiek myślący o przyszłości staje wobec dylematu: dać ponieść się fantazji, popuścić wodze wobraźni, czy twardo i uparcie trzymać się gruntu, realności? Pozornie może się wydawać, że nie ma w tym żadnej sprzeczności. Przyszłość jest zawsze daleka i nim stanie się rzeczywistością wiele może się jeszcze wydarzyć. Można więc bezkarnie snuć przypuszczenia, bo któż to będzie później pamiętał. Nikt przecież z poważnych futurologów nie potrafił przewidzieć kryzysu energetycznego. Nietrafną prognozę można bowiem zawsze obronić nieprzewidzianymi czynnikami, choć rola futurologa polega między innymi na tym, aby właśnie wszystkie czynniki wziąć pod uwagę.**

**Obraz przyszłości zarysowany mgliście i ogólnikowo nie budzi żadnych skojarzeń, nie pobudza wyobraźni i jest na ogół przyjmowany bez sprzeciwów. Kiedy jednak wizja nabiera kształtu, kiedy umiejscawia się ją konkretnie w czasie, kiedy zarysowuje się kontury szczegółów, wtedy człowiek automatycznie odwołuje się do teraźniejszości, porównuje punkt wyjścia z punktem docelowym i zastanawia się nad realnością i możliwością propozycji. Rumuński matematyk i publicysta, działacz państwowy i ekspert ONZ, a także uczony — Mircea Malita przedstawił w książce „Kronika roku 2000"', wydanej w 1969 roku a w Polsce w 1973 roku, wizję mieszkania przyszłości. Wszystko tu ukryte w podłodze i ścianach, asymetryczne proporcje, kształt „niekoniecznie linearny" żywe kolory. Wszystko obliczone i zaprogramowane przez maszyny, które do-**

Dalszy ciąg na str. 5

NIE TYLKO HISTORIA

## MASONI I INNI...

O masonerii pisywano różnie, na ogół jednak niezbyt pochlebnie. Przynajmniej przed wojną; w ostatnim trzydziestoleciu nie pisze się o niej u nas niemal nic. Kiedy ukazały się pierwsze szkice Leona Chajna, poświęcone polskiej masonerii okresu międzywojennego, nagle okazało się, jak wielkie jest zainteresowanie tą tematyką. Rozpoczęły się dyskusje, nie tylko w kraju, ale i za granicą, do których włączali się zarówno ludzie poinformowani o sprawach, jak mający o nich raczej mgliste wyobrażenie. Tymczasem Leon Chajn pracował dalej i napisał książkę, którą właśnie kupiłem w jednej z łódzkich księgarń. Jest to dziełko, ładnie wydane przez „Czytelnika", a zatytułowane: **„Wolnomularstwo w II Rzeczypospolitej"** (1975).

Trudno odmówić autorowi racji, kiedy zaraz na wstępie do swej pracy pisze, że **„próba opracowania szkicu o polskim wolnomularstwie okresu międzywojennego przypomina manewrowanie statku między widocznymi i ukrytymi rafami"**, że **„ze wszystkich stron czyhają niebezpieczeństwa, piętrzą się trudności, a wołanie o pomoc ginie bez echa"**. Oczywiście nie chodzi tu o niebezpieczeństwa takie, jakie niegdyś wyobrażali sobie nasi i obcy masonofobi, ale po prostu niechęć do ujawniania spraw, nawet przebrzmiałych i dziś już pozbawionych aktualności, i to nie tyle ze względu na masoński obowiązek milczenia, ile na atmosferę, jaka otaczała w znacznej części opinii publicznej wszystko, co dotyczyło ludzi spod znaku kielni i młotka. Sądzę, że jeszcze dzisiaj w świadomości wielu ludzi pokutuje ów mit o masonerii, jako **„zakulisowej, wielookiej i wielorękiej potędze"**, o całkiem podejrzanych celach, a jeszcze bardziej wątpliwych środkach działania. Bo gdyby nie było oporów, dlaczegoż by autor powstrzymywał się przed przytaczaniem nazwisk osób, żyjących dzisiaj w kraju, o których wie, bądź domyśla się, że były powiązane z masonerią? Dlaczego niektórzy z jego informatorów woleli pozostać anonimami?

Proponuję rozpocząć lekturę książki od... przeglądnięcia indeksu. Przy osobach, których przynależność do lóż masońskich została przez L. Chajna stwierdzona źródłowo, zaznaczono to tłustym drukiem. Dla wielu osób, niezbyt obznajmionych z realiami politycznymi okresu międzywojennego, będzie pewnie zaskoczeniem, że wśród masonów odnajdą wcale spore grono ludzi należących do szczytów ówczesnej elity władzy, działaczy politycznych, nieraz bardzo wysokiego szczebla. Jest tu bowiem zarówno **Józef Beck**, jak **Kazimierz Bartel**, gen. **Stefan Dąb-Biernacki** i **Tadeusz Hołówko**, jest gen. **Michał Karaszewicz-Tokarzewski** i płk **Adam Koc**, jest osławiony płk **Wacław Kostek-Biernacki**, **Marian Zyndram-Kościałkowski**, płk **Ignacy Matuszewski**, płk **Bogusław Miedziński**, gen. **Mieczysław Norwid-Neugebauer**, **Bronisław Pieracki**, **Aleksander Prystor**, **Edward Rydz-Śmigły**, **Adam Skwarczyński**, **Walery Sławek** i **Stefan Starzyński** i sporo innych, pomniejszych postaci. Są ludzie ze środowisk intelektualnych — uczeni, pisarze, artyści, niemal całe środowiska, które kiedyś znaczyły w naszym życiu. Są szczegóły o organizacjach w poszczególnych miastach, jak np. w Łodzi. Autor podaje, że po przewrocie majowym powstała w Łodzi loża, która przybrała imię zamordowanego prezydenta — wolnomularza **Gabriela Narutowicza**. Organizatorem łódzkiej loży był, według L. Chajna, dr **Stanisław Więckowski**, jej członkami byli tak wybitni ludzie, jak dr **Wincenty Tomaszewicz**, prof. **Sergiusz Hessen**, dr **Seweryn Sterling**, prof. **Marian Grotowski**, **Leon Starkiewicz**, **Zygmunt Lorentz**, **Antoni Tomaszewski** i **Ignacy Landau**. Podobne loże istniały w innych miastach.

Książka L. Chajna dla wielu czytelników będzie jak gdyby kijem, wetkniętym w mrowisko spraw nieznanych i zmitologizowanych. Nie potwierdza mitu, bo go potwierdzić nie może; ale i nie pomniejsza znaczenia organizacji i środowisk masońskich, bo wcale nie były one małe. L. Chajn stwierdza wyraźnie, że aczkolwiek w okresie międzywojennym masoneria stanowiła w Polsce stosunkowo szczupłą garstkę ludzi, niepomiernie mniejszą, niż w innych krajach, to przecież miała istotne wpływy. Dowodzi, że **„dzięki rozległym stosunkom, szerokim koneksjom i powiązaniom, polscy wolnomularze niemal przez cały okres międzywojenny docierali do ośrodków decyzji politycznych, do ośrodków władzy"**, że wreszcie programowo głosząc „apolityczność", byli politycznie zaangażowani, choć bynajmniej nie w jednakowy sposób że byli „wielopolityczni". Czy jednak „na ogół" reprezentowali tendencje postępowo-liberalne, jak dowodzi tego L Chajn, można by dyskutować. Nie nad tym oczywista, że w ruchu masońskim uczestniczyło wielu szczerych i wybitnych demokratów, odgrywających istotną rolę w walce z tendencjami faszyzującymi, bo to jest prawda. Wszak masonami byli **Mieczysław Michałowicz** i wielu ludzi z jego środowiska, działacze socjalistyczni **Stanisław Thugutt** i **Mieczysław Niedziałkowski**, **Janusz Korczak**... Ale nie zapominajmy, że wielu ludzi, niegdyś powiązanych z tą organizacją, związanych z aparatem władzy, reprezentowało wcale inne tendencje. Ostatecznie nazwisko **W. Kostka-Biernackiego** mówi wiele, a nie jest to głos ani postępowy, ani liberalny, tylko... policyjny. Inna sprawa, że sanacyjnych pułkowników po prostu wyrzucono z masonerii. Sprawy niejasne, skomplikowane, owiane mgłą tajemnicy: nic nie może być więc lepszego, jak próba spokojnego ich rozważenia, w oparciu o skrzętnie zebrany materiał źródłowy. Czy się to w pełni udało, o tym powiedzą specjaliści od problematyki masońskiej.

LEKTOR

ZOFIA LORENTZ

# WĄTPLIWOŚCI

*(OPOWIADANIE)*

To naleganie, abym koniecznie przyszła do niej w sobotę wieczorem, wydało mi się podejrzane. Na pytanie, czy to ma być jakieś przyjęcie, odpowiedziała z pozorną niedbałością:

— Ach, nie, będzie tylko pewne małżeństwo, którego dotychczas u mnie nie spotykałaś.

— Jakaś nowa znajomość? — spytałam.

— Mniej więcej. Ale to bardzo mili ludzie.

I nic poza tym. Nie byłam wcale ciekawa jej „miłych ludzi", ale pomyślałam sobie, że pewno któreś z nich czegoś ode mnie potrzebuje. I na tym stwierdzeniu poprzestałam. Przyzwyczajona przecież jestem do czegoś takiego, więc mnie ta wizyta nie zainteresowała. Daleka byłam od przypuszczenia, że to spotkanie będzie dotyczyć mnie samej.

W sobotę rano znów miałam telefon; czy aby na pewno przyjdę.

„Komuś się bardzo spieszy" pomyślałam — i upewniłam Hanię, że nie zawiodę.

I rzeczywiście, koło godziny siódmej wybrałam się na tę wizytę. Dzień był chłodny, więc miałam okazję włożyć mój nowy kostium z białą koronkową bluzką, w której to kreacji wyglądałam podobno korzystnie i wyjątkowo młodo. O ile może wyglądać korzystnie i młodo kobieta w moim wieku.

Nie byłam pierwsza: „miłe małżeństwo" siedziało już w holu, pełniącym rolę dawnych saloników, przy modnie niskim, a więc odpowiednio niewygodnym stole, zastawionym tartinkami i ciastem. Pośrodku pełniła straż ozdobna butelka francuskiego koniaku. Towarzystwo paliło papierosy, wyraźnie wstrzymując się z konsumpcją do mego przyjścia. Goście byli chyba w jednym wieku, niewiele po trzydziestce: urodziwi, dobrze ubrani, pewni siebie. Tyle oceny z pierwszego rzutu oka.

Potem zaraz te kanapki z sardynką, rzodkiewką i te de, do tego koniak jeden, drugi i trzeci. Przy czwartym:

— Pani pewno nawet nie przeczuwa, że my oboje z żoną...

— Macie do mnie jakąś sprawę.

— Więc Hania nie wytrzymała i powiedziała o co chodzi?

— Nie, nie powiedziała. Po prostu wywnioskowałam to z jej nalegania, abym na pewno przyszła.

— Nie wiedziałam, czy się zgodzisz... pospieszyła Hania z wyjaśnieniem.

— Chodzi nam o pani radę. Od Hanny wiemy o pani osobistym doświadczeniu w tej... powiedzmy w tej dziedzinie... i dlatego ośmielamy się zwrócić do niej...

Miły pan był wyraźnie zmieszany. Jego żona milczała.

— Cóż to za sprawa? — zapytałam uprzejmym tonem, biorąc nową kanapkę.

— Olu, może ty? — zwrócił się do żony.

— Nie, nie. Ty zacząłeś — więc mów dalej.

— Otóż... najpierw kilka słów wyjaśnienia: my oboje z żoną od ośmiu lat jesteśmy małżeństwem i nie mamy dzieci i — jak lekarze twierdzą — jest bardzo wątpliwe, abyśmy je kiedykolwiek mieć mogli. A bardzo byśmy chcieli...

— Mów za siebie — wtrąciła żona.

— Tak, to jest... rzeczywiście, to ja z nas dwojga bardziej odczuwam brak potomstwa. Zawsze ogromnie lubiłem dzieci i żeniłem się z myślą, aby je mieć.

— No, jeszcze nie jest za późno, jeszcze możesz je mieć... z inną żoną, oczywiście... — wtrąciła złośliwie Ola.

— Och, proszę cię, zachowaj powagę.

— Dobrze, już dobrze, jedź dalej.

— Tak. Otóż, wracając do rzeczy — zaproponowałem żonie, abyśmy wzięli na wychowanie cudze dziecko. Ale żona ma szereg wątpliwości, zastrzeżeń...

— A pan ich nie ma? — zapytałam.

— Ja o wiele mniej. Mnie chodzi przede wszystkim o samo powzięcie decyzji. Sądzę, że to jest najtrudniejsze. Czy pani nie jest tego zdania?

— Och, to rzecz względna — odpowiedziałam — zależy od wielu okoliczności. Czasem istotnie trudna, ale też czasem bardzo prosta. Może być powzięta nawet spontanicznie. Bez żadnych oporów wewnętrznych.

— Wiemy od pani Hanny, że pani właśnie swego czasu powzięła taką decyzję i wychowała...

Od pierwszej chwili wiedziałam o co chodzi tym dwojgu: chcieli od osoby doświadczonej opinii „na okoliczność" wzięcia na wychowanie cudzego dziecka, chcieli mojej rady: wziąć czy nie.

— Ze mną proszę pana to była inna sprawa: kiedy brałam dziecko, byłam niezamężna, a więc mój „przypadek" był wyjątkowy. I to tak dalece, że gdybym wtedy chciała to dziecko adoptować, musiałabym mieć na to zezwolenie samego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, bo ówczesne ustawodawstwo nie zezwalało pojedynczej osobie na adopcję dziecka. Ale to jeżeli chodziło o stronę formalną. — Właśnie, a nam chodzi o stronę psychologiczną i...

— Nie zbaczajmy jednak z głównego tematu — przerwała mężowi z wyraźnym zniecierpliwieniem żona — Ja chciałabym zadać pani jedno zasadnicze pytanie.

— Proszę. Słucham.

— Czy nie żałowała pani nigdy swojej decyzji?

Pytanie było drapieżne. Oo, paniusiu, pomyślałam szybciutko, pewno chcesz wiedzieć, czy mi się to opłaciło? Ale odpowiedziałam spokojnie i bez chwili namysłu:

— Nie, nigdy. Wręcz przeciwnie: uważałam zawsze i uważam do dziś, że była to moja najrozumniejsza decyzja w życiu.

— Czy trafiła pani na tak cudowne dziecko?

Och, mogłam jej darować tę nutkę ironii: — Cudowne? — powtórzyłam — ależ nic podobnego. Dziecko jak dziecko. Cała rzecz w tym, że było, i do dziś — jest. To wszystko.

— Ach, tak! — wykrzyknęła. A ja już wiedziałam, że ją rozczarowałam, i że niczego nie zrozumiała. Ale jej mąż mnie zrozumiał.

— Tak — powiedział po chwili jakimś ściszonym głosem — to wyjaśnia wszystko. Tak to sobie wyobrażałem.

Sytuacja wymagała zapalenia papierosów i świeżych filiżanek kawy. Albowiem żona nie uważała sprawy za wyczerpaną i przejąwszy inicjatywę z rąk męża, wytoczyła ciężką artylerię problemowych pytań: a czy należy brać oseska, czy dziecko już odchowane, a więc kilkuletnie; b) ukryć prawdziwe pochodzenie dziecka przed nim samym i przed otoczeniem lub odsłonić prawdę, a jeżeli tak, to kiedy. Przeciw punktowi a) — mówiła dalej — przemawia całkowita nieświadomość, jakim się okaże (może przecież posiadać ukryte jeszcze wady organiczne, albo okazać się jakimś brzydactwem z dziedzicznymi ujemnymi cechami charakteru, podczas gdy dziecko kilkuletnie coś już sobą przedstawia, odpada też uciążliwy okres karmienia i pieluch).

Ad punktu b) — Żona wypowiadała się za wczesnym uświadomieniem dziecka przybranego, że jest adoptowane, bo i tak zazwyczaj nie udaje się tego ukryć.

Mąż był za oseskiem: cytował opinię psychologów, którzy twierdzą ostatnio, że psychika dziecka kształtuje się w okresie do trzeciego roku życia, a więc biorąc dziecko paroletnie dobrowolnie pozbywamy się jakiegokolwiek wpływu na formowanie się jego osobowości.

— A jak to było u pani? — pytali już teraz oboje.

I jeszcze jedno — przerwała mu żona — może nam pani powie, kiedy się zaczyna kochać cudze dziecko?

Patrzyłam na nią ze zgrozą: jakże to mówić ślepemu o barwach?

— Kiedy się zaczyna kochać cudze dziecko? — powtórzyłam — Ależ jeszcze przed jego urodzeniem.

— Jak to? — wykrzyknęła.

— No, przed zrealizowaniem decyzji wzięcia cudzego dziecka — wyjaśniłam spokojnie. I zapaliłam papierosa. A gdy oni milczeli, widocznie skonsternowani, dodałam: — Jakie masz śliczne filiżaneczki, Haniu. Czy to z importu?

Dalej rozmowa już się nie kleiła. Nie pomógł koniak, ani trzecia filiżanka czarnej kawy. Musieli zrozumieć, że ja, ze swej strony, uważam temat cudzego dziecka za wyczerpany.

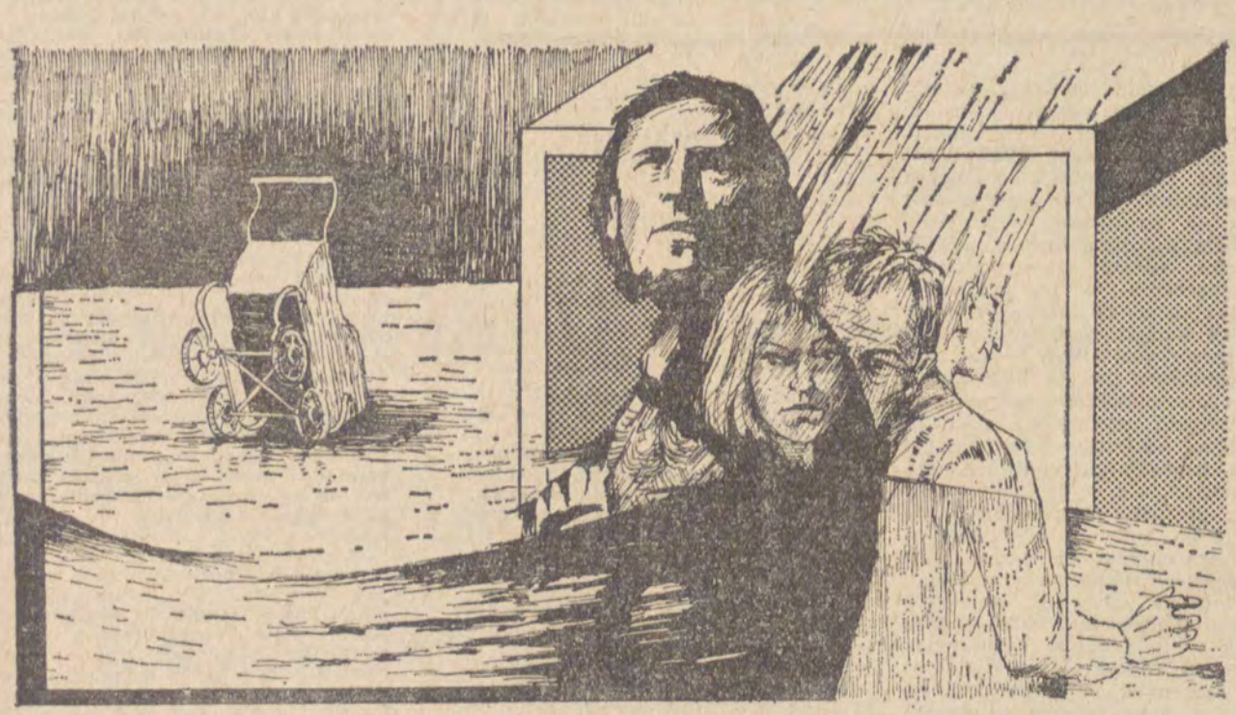

*Rys. J. Szymański-Glanc*

# JUBILEUSZ ZOFII LORENTZ

Zofia Lorentz — autorka poczytnych tomów prozy i utworów scenicznych wystawianych w teatrach lalkowych, a także w telewizji — urodziła się 80 lat temu, 25 stycznia 1896 roku w Gozdowie na Ziemi Łódzkiej. Już ten pierwszy fakt, otwierający biografię, dał jednocześnie początek długiemu szeregowi osobistych, rodzinnych, zawodowych i twórczych powiązań przyszłej pisarki i działaczki społecznej z naszym regionem, z kulturalnymi i oświatowymi instytucjami Łodzi. Tutaj Zofia Lorentz ukończyła gimnazjum Janiny Pryssewiczówny i średnią szkołę muzyczną, a później przez wiele lat wypełniała swe codzienne obowiązki profesjonalne, tu też znalazła teren dla pracy społecznej w środowisku młodzieżowym, co pozostawiło wyraźny ślad w jej pisarstwie.

Dzieci i młodzież zajmują bowiem w twórczości autorki „Daleko od jabłoni" miejsce naczelne, zarówno w sferze tematów literackich, jak i w adresie czytelniczym. Przenikliwa a serdeczna obserwacja obyczajów świata dziecięcego i przeżyć małych bohaterów zyskała szczególnie przejmujący wyraz, uzyskany prostymi, bezpretensjonalnymi środkami artystycznymi, w tekstach poświęconych młodzieży walczącej i cierpiącej podczas wojny, a więc wtedy, gdy młodzieży tej przyszło zdawać najtrudniejszy i najokrutniejszy egzamin życiowy.

Sama pisarka nie była w tej walce kibicem. W 1939 roku na sanitarnym posterunku uczestniczyła w obronie stolicy, a w czasie okupacji związana była z Armią Krajową, kilkakrotnie otrzymując wojenne odznaczenia.

Zestawienie całego dorobku pisarskiego Zofii Lorentz, powstającego od roku 1934, kiedy to na łamach „Naokoło Świata" debiutowała opowiadaniem „Sześciornica", nie jest zadaniem łatwym, jeśli przy tym zważyć, że jeszcze przed wojną spod pióra autorki wyszło — obok utworów literackich — sporo artykułów i reportaży, zamieszczanych m.in. w „Kurierze Porannym", „Robotniku" „Kobiecie Współczesnej". Wyliczmy zatem tylko książki: „Mali bohaterowie. Opowieść o dzieciach walczącej Warszawy 1940—1944". (1947, drugie wyd. 1971), „Szpital polowy nr 4" (1955), „Transport 77" (1957), „Wakacje pod blaszanym człowieczkiem" (1959, drugie wyd. 1969, trzecie wyd. 1972), „Daleko od jabłoni" (1963), „Pierwsza runda" (1967, drugie wyd. 1968), „Końce w wodę" (1971), „Na niby i naprawdę" (1972), „Punkt na ulicy Różanej" (1973).

Pozycje te należą do tego rodzaju książek, z jakimi spotykamy się wcześnie, na ogół w wieku szkolnym, i które często stają się szczeblem do dalszych, ściślejszych i głębszych sojuszów z kulturą. Bywa, że po latach zapominamy niektóre tytuły, imiona bohaterów, a nawet nazwiska autorów — niegdyś duchowych przewodników, prowadzących nas przez świat emocji, odkrywających nie znaną rzeczywistość, pomagających rozpoznawać dobro i piękno. Trudno jest zbadać wpływ tych książek, ale to pewne, że wszyscy im coś wartościowego zawdzięczamy.

Toteż nie będzie przesadą, jeśli dziś w imieniu niezliczonych rzesz czytelników, młodych i starszych, złożymy Zofii Lorentz najserdeczniejsze życzenia dobrego zdrowia i spokojnych lat dalszej twórczej pracy pisarskiej.

J. Rz.

EWA FILIPCZUK

★ ☆ ★

**obyczaj walki przetrwał przez zmienne formacje**
**do dzisiaj patrzą na siebie**
**z nieufnością zwierząt**
**tak bardzo się różnią że nawet te same słowa**
**nigdy nie brzmią podobnie**
**schodzą z wieży babel**
**aby posłuchać piskliwych niemowląt**
**otwierają drzwi i okna piszą wracają**
**inaczej na przemian dobrzy albo źli**

**kiedyś gdy utracą dawną kobiecość lub męskość**
**zbliżą się brzegi przepaści między nimi**
**będą mogli kochać bezpiecznie i bez lęku**

**swój stary wyschnięty samotny**
**przedmiot miłości**

★ ☆ ★

**brak pomysłu to przeszkoda nie do pokonania**
**hagiografowie mają zadanie łatwiejsze**
**nobilitują ich nawet nieudane**
**próby opisu Boga albo Prezydenta**

**a ci którym dokucza nieoswojone ciało**
**i odkrywają intymne znaczenie słów**
**z bezwstydem kobiety**
**ci którzy nie cierpną na widok wydrukowanej modlitwy**
**zostają poetami**

**lepiej jest być uczonym albo spowiednikiem**
**niż opisywać własny piekący grzech**
**skazywać wiersze**
**odziane w pokorę i rymy**

## REPORTAŻ ZAGRANICZNY

# JAK CHCIELIŚMY DOSTAĆ SIĘ NA CARSKIE KOMNATY

Dokończenie ze str. 1

carskich komnatach! Są u siebie! Dziwne się niekiedy wydaje obserwatorom z zewnątrz, że w sześćdziesiąt lat po rewolucji fakt ten ich tak raduje, daje im taką satysfakcję.

**— My, robotnicy i chłopi, synowie chłopów i robotników, wnuki nędznych mużyków czujemy się na pokojach znienawidzonych przez naród carów, jak u siebie. Tak, bo jesteśmy tu u siebie!** — mówi mi jakiś robotnik rolny z nadwołżańskiego sowchozu o nazwie „Czerwony październik".

Chodzą więc po tych samych salach, w których przebywał ostatni car Wszechrosji — Mikołaj II. I jak on, czują się tu „u siebie". Może potem zapisują w swoich kalendarzach: „Byliśmy w Pietrodworcu", jak zapisywał car w swoim pamiętniku. Ot, chociażby w piątek, 5 października 1890 roku:

**„O 7,30 pojechałem z Czerewinem i Golicynem do Peterhoffu na nasze polowanie. Dzień był łagodny i sprzyjający. Dużo było zajęcy, ptactwa — niewiele. Śniadanie jedliśmy w namiocie. Zesta, kucharza stryja Aleksego. Zabiłem: cietrzewia, sowę i 29 zajęcy. Od biłem sobie ramię i dlatego nie strzelałem podczas ostatnich dwu nagonek..."...**

### 3.

„Odpędzeni" od wejścia do głównego pałacu Pietrodworca idziemy w chłód i mgłę pełnego ludzi 800-hektarowego parku z 20 pałacykami i pawilonami, ze 140 fontannami. Do zwiedzania jest tak wiele, że nie starczyłoby nawet i tygodnia.

Piękne są fontanny, piękne aleje parkowe, a Sasza Moisiejew — uparty. Zbliżamy się do parterowego pawilonu — to myśliwski pałacyk Piotra I „Mon-plesire" U wejścia — proporcjonalnie mniejsza kolejka, niż u wstępu do głównego pałacu. Bileterka rozmawia z młodą wysoką dziewczyną w okularach, za którą niezbyt karnym szeregiem rozciąga się kilkudziesięcioosobowa wycieczka obwieszona kamerami filmowymi i aparatami fotograficznymi.

Dobiega do nas fragment dialogu:

**— Dobra, dobra, ale ja mam angielską grupę, już trochę narzekają, że muszą wszędzie czekać** — mówi przewodniczka w okularach.

**— A ja mam tylko dwójkę i to — zrozum — Polaków!** — replikuje z emfazą Sasza.

Jego koleżanka z „Intourista" spogląda na nas z przyjaznym uśmiechem i kiwa przyzwalajaco głową. Bileterka udaje, że nie widzi, jak wmykamy do wnętrza „Mon-plesire". Łatwo jej to przychodzi, bo zaraz za nami rusza angielski tłumek.

Poganiani przez ten ostatni, który — jak to zachodni turyści — chce jak najwięcej zobaczyć w jak najkrótszym czasie, przebiegamy przez wnętrza, urządzone w sposób dający złudzenie, że Piotr I przed chwilą wyszedł pospacerować po parku, ale za chwilę tu wróci, aby sprawdzić w bawialni, sypialni lub pracowni, czy wszystko jest na swoim miejscu, czy przypadkiem służba czegoś nie poprzestawiała.

Anglicy zatrzymują się na dłużej w wąskim korytarzu — małej galerii ulubionych obrazów cara. Zatem i my możemy porozglądać się dłużej po surowym, ascetycznym wręcz, wnętrzu gabinetu cara, za którego szklaną ścianą kłębi się mgła, otulająca szczelnie, widoczną stąd przy dobrej pogodzie, Zatokę Fińską.

Jest też chwila oddechu na pytania, choć przyznaję — naiwne:

— Sasza, wszystko tu na wierzchu. Chociażby te przybory kancelaryjne, nie mówiąc o kosztowniejszych przedmiotach z kruszców i szlachetnych kamieni. Nie boicie się, że ktoś ręką sięgnie...

**— Spróbuj** — uśmiecha się Sasza, więc za jego przyzwoleniem chwytam Piotrowski kałamarz.

**— No, widzisz, jak zmyślnie przytwierdzony. Wydaje się, że stoi, ot, tak, a tu — guzik. Ale to nie w obawie przed kradzieżą, lecz przed nieumyślnym uszkodzeniem. Gdyby nawet jakiś drań przyszedł, to nie ruszy, bo wie, że nie sprzeda!**

Zagadaliśmy się i już mamy Anglików. Wszędzie ich pełno. Chcąc nie chcąc, uczestniczymy zatem w ich programie zwiedzania. Objaśnienia przewodniczki przerywa w pewnym momencie leciwa matrona w ocelotowym futerku, zadając takie mniej więcej pytanie przez nią samą traktowane jako retoryczne:

**— Powiedziała nam pani, że Peterhoff zajęty był w czasie wojny przez Niemców, przyjemnie więc chyba stwierdzić, że w sposób elegancki obeszli się ze skarbami waszej kultury narodowej...**

### 4.

Elegancko obeszli się?! Tylko w czterdziestym trzecim na Leningrad spadło 68 tysięcy hitlerowskich pocisków artyleryjskich. W czasie blokady we wnętrzach Pałacu Smolnego — nad którym przed niemieckim natarciem zawieszono gigantyczne maskujące sieci — rozerwały się 34 pociski, a fasada pięknego Soboru Kazańskiego wyniosła z wojny 1600 szram. To Leningrad, a w tym samym czasie Pietrodworec zajęty był przez hitlerowskich barbarzyńców, którzy doszczętnie zniszczyli pałace, pawilony i fontanny. Wielki Pałac spalili i wysadzili w powietrze, ustępując zaś pozostawili w wypalonych parkach dziesiątki tysięcy min.

Dziś Pietrodworec — piękniejszy niż za cara. Jak ocalało jego bogactwo? Częściowa odpowiedź w zapisku zastępczyni dyrektora muzeum, A. P. Czubowej z 2 marca 1942 roku:

**„...Ewakuowano wszystko, podkreślam — wszystko z „Mon-peisire", wliczając w to obrazy z poszycia ścian..."**

W tym samym czasie meldowano w Leningradzie: **„1 mln 117 tys. różnych przedmiotów odprawiono z „Ermitażu" na Ural!".**

Kiedy rozpoczęła się blokada, kiedy pierwsze bomby zaczęły obracać Wenecję Północy w perzynę, przystąpili do pracy architekci, którzy sporządzali dokumentację — szkice, projekty — żeby wszystko było gotowe w dniu, w którym będzie można przystąpić do odbudowy. Robili to ci, którzy żadnej nie mieli gwarancji, że przeżyją.

W listopadzie 1942 roku architekt E. Lewina zapisuje w swym notatniku:

**„Rozpoczęły się prace nad rekonstrukcją zniszczonych budynków. Wcielanie w życie pierwszych projektów przebiega w sposób niezwykły. Na planszach o naturalnej wielkości rysuje się oryginalne fasady. Ruiny zakrywane są rysowanymi na planszach elewacjami, a domy stają się makietami swojej przyszłości.".**

O tych samych architektach mówi inny zapis — z 11 lutego 1943 roku:

**„W konkursie na projekt pomnika dla uczczenia przerwania blokady wzięło udział czterdzieści osób(...) Mamy w mieście 120 architektów, wliczając w to rannych i obłożnie chorych. W czasach pokojowych, kiedy było nas 900, konkurs uważany by był za masowy. A przecież wtedy ludzie żyli w ciepłych mieszkaniach dobrze się odżywiali...".**

Z początkiem czerwca 1945 roku ruszyły w Leningradzie pracownie rekonstrukcji i restauracji zabytków. 25 sierpnia 1946 roku wytrysnęła woda z pierwszych 38 odbudowanych fontann Pietrodworca. W rok później uruchomiono Wielką Kaskadę. Od nowa też wykonana wtedy została fontanna „Samson" — pięciotonowa pozłacana statua osadzona na wysokim piedestale.

### 5.

Nie mniej okrutnie obeszli się hitlerowcy z pięknym Carskim Siołem — dawniejszą rezydencją carycy Katarzyny. Carskie Sioło po wojnie otrzymało nazwę Puszkino, tam bowiem urodził się i wychował rosyjski poeta. Ogromny pałac Jekateryński — wspaniały efekt działalności architekta W. Rastrellego, który stary dom Katarzyny i cztery sąsiednie budynki połączył w imponujący gmach — zamienili hitlerowcy w budynek dworcowy. W cerkwi urządzili warsztat naprawy motocykli, parkowe zaś pawilony zmienili w stajnie i magazyny.

Odbudowę zespołu pałacowego, trudną i kosztowną, rozpoczęto w latach pięćdziesiątych. Chociaż prace rekonstrukcyjne trwają, część pałacu można już zwiedzać...

Do Puszkina zawozi nas Sasza jeszcze tej samej niedzieli. W wyzierającym spoza ciemnych chmur słońcu lśnią polerowanym złotem piękne kopułki pałacowej cerkwi, od której ciągnie się lazurowa fasada Pałacu Jekateryńskiego z pozłacanymi stiukami i płaskorzeźbami.

Wzdłuż długiej ściany pałacu — tłum zwiedzających. Znów gigantyczna kolejka. Rzedną nam miny, a i Sasza niezbyt pewnie rozgląda się wokół. Nie traci jednak rezonu: tym razem na carskie komnaty dostać się próbujemy sposobem. Mianowicie: od tyłu, czyli od wyjścia. Nasz przewodnik znika na chwilę i wraca z twarzą promienną. Za dyspensą wysokich władz pałacowych ruszamy w głąb przepysznych wnętrz — ruszamy pod prąd, lawirując między gęstymi szeregami zwiedzających.

Zewsząd leje się na nas blask barokowego złota, uderza w oczy biel gipsowych zdobień, migocą kalejdoskopowe wzory marmurowych i drewnianych posadzek. Zatrzymują nas co rusz takie ciekawostki, jak składający się z kilkudziesięciu przedmiotów porcelanowy zestaw toaletowy — prezent od samej Marii Antoniny, królowej Francji. Przypominam sobie oglądany niedawno w głównym pałacu Pawłowska stół tak gęsto pokryty szczerozłotą zastawą na kilkadziesiąt osób, że łokcia nie było nawet gdzie położyć. Przypominam sobie i mruczę pod nosem:

— Car to miał klawe życie!

**— Cysorz. A tutaj, to raczej caryca** — prostuje Sasza. Slawista z wykształcenia, prócz opanowanego na perfect języka polskiego, zna jeszcze, nie mniej zapewne znakomicie, język czeski, słowacki, bułgarski, a ostatnio wziął się za naukę serbskiego. Ze swoimi długimi włosami, amerykańskimi dżinsami i dyndającym na ramieniu chlebakiem nie za bardzo jednak wygląda na uczonego poliglotę, co mu w żartach, ku naszej uciesze, wytyka moja żona.

**— Miały życie klawe caryce, miały** — dodaje Sasza. **— Nie wszystkie jednak, zwłaszcza zaś nie Aleksandra Fiodorowna, żona Mikołaja II.**

### 6.

Fakt. Sięgam w myśli do sporządzonych wcześniej notatek.

27 lutego (1917 roku) caryca depeszuje do kwatery głównej cara w Mohylewie, kończąc telegram słowami:

**„Jestem bardzo niespokojna o miasto".**

A w Petersburgu już wrze; strajki, demonstracje, bunt wojska. Car telegrafuje następnego dnia do Carskiego Sioła, z Wiaźmy, po angielsku:

**„Wyjechaliśmy dziś rano, o piątej. Myślami jestem zawsze z Tobą. Pogoda znakomita. Mam nadzieję, że czujecie się dobrze i jesteście spokojni. Z frontu skierowano dużo wojska. Kochający Cię Niki.".**

Nie wie, że już o tej porze caryca znajduje się pod strażą wojsk rewolucyjnych, poprzedniego dnia bowiem wybuchł bunt w Carskim Siole, a sam pałac otoczony został samochodami pancernymi. W niespełna tydzień później znajdzie się tu i car, który abdykuje na rzecz brata, Michała Aleksandrowicza. 5 marca — w dniu abdykacji — wysyła ostatnią depeszę ze stacji Sirotino:

**„Jego Carska Mość Michał. Piotrogród. Wydarzenia ostatnich dni zmusiły mnie do nieodwołalnego, ostatecznego kroku. Przebacz jeśli sprawiłem ci zmartwienie(...) Modlę się gorąco do Boga, aby pomógł Tobie i Twojej Ojczyźnie.".**

Nie na wiele zdają się carskie modły. 8 marca Mikołaj zostaje internowany w Carskim Siole, a niedługo — przewieziony do Tobolska, gdzie — przed ekspedycją do Jekaterynburga — żyje przez czas dłuższy z rodziną na zwykłym żołnierskim żołdzie. Ten sam car, który pod datą 13 maja 1890 roku zapisywał:

**„Niedziela. Carskie Sioło. To po raz pierwszy, że cały dzień lał deszcz. Wstałem późno, jak to zwykle w domu. Poszliśmy na nabożeństwo z ciocią Olgą. Śniadanie zjedliśmy w arsenale... Pływaliśmy na bajaderze i na dwuwiosłowej szalupie. Herbatę piliśmy u „Mama". Obiad zjedliśmy w arsenale przy muzyce, której dawno nie słyszałem."**

Ten sam car...

**— Czy uwierzysz, że nasi uczniowie** — usłyszę przy innej okazji — **z wielkim zainteresowaniem i czymś, co trudno nazwać, a co bliskie jest chyba powściągliwemu entuzjazmowi, przyjmują jeszcze dziś informację, że, car był na zwykłym żołdzie, jak prosty żołnierz, jak jego poddany?!**

Uwierzę. Przekonałem się bowiem o czymś, czego na początku nie mogłem pojąć.

**JACEK INDELAK**

*(zdjęcie autora)*

## PROBLEMY

# BARIERA WYOBRAŹNI

Dokończenie ze str. 3

**konują tego wyłącznie z myślą o wygodzie człowieka, a nie będą się zupełnie liczyły choćby z... trudnościami materiałowymi, kooperacją, terminowością dostaw i brakoróbstwem budowlanych. Wizja piękna, ale współczesny mieszkaniec „M-3", powstałego w fabryce domów, puka z powątpiewaniem palcem w betonową płaszczyznę ściany i myśli: — gdzie tu u diabła schować szafę, skoro gwoździe trzeba wstrzeliwać małą armatką? Piękną wizję, która być może wcale jest realną, licho bierze w zetknięciu z realiami punktu wyjścia. W końcu — myśli bowiem współczesny mieszkaniec „M-3" — do roku 2000 zostało tylko 24 lata. Wcale nie tak dużo.**

**I oto ten sam sceptyk z „M-3" dostał do ręki, albo może dostać, jeśli się tym zainteresuje, inną prognozę, równie dotyczącą 2000 roku, ale już nas bezpośrednio obchodzącą, bo jest to wizja małego spaceru po Łodzi roku 2000. Snuje ją na kartach świeżo wydanego „PRZEGLĄDU EKONOMICZNO-SPOŁECZNEGO MIASTA ŁODZI" (nr 2, rok 1975) Jerzy Samujiło.**

**Co zobaczył „oczyma wyobraźni" autor?**

„Z mieszkania znacznie większego od obecnych, wyposażonego w wiele zautomatyzowanych urządzeń, dostajemy się windą na poziom przeznaczony wyłącznie dla ruchu pieszego. Do przystanku komunikacji masowej — metra lub szybkobieżnego i cichego tramwaju — dochodzimy w ciągu 3 minut...

Jesteśmy w paśmie nowoczesnej zabudowy centrum, którego realizacja została zapoczątkowana blisko 30 lat temu budową piewszych budynków przy ul. Głównej i Traugutta. Wygodne przejścia podziemne, urozmaicone licznymi barkami, kwiaciarniami i kioskami, prowadzą stąd do najważniejszych obiektów centrum. Bezszmerowymi schodami ruchomymi wyjeżdżamy na powierzchnię w sam środek centrum handlowego".

**No i sceptyk z „M-3" staje teraz przed dylematem: czy dać się ponieść wyobraźni i zobaczyć ukochane miasto oczyma architekta, który roztacza przed nim tak fascynującą wizję, czy pamiętać o realiach? Zresztą Jerzy Samujiło, jakby przeczuwając takie obiekcje pisze na wstępie swej wizji:**

„Aby to, co przytoczę, nie wyglądało na czystą fantazję, pamiętać musimy, że wtedy **(to znaczy w 2000 roku — przyp. LW.)** zaledwie czwarta część zainwestowana miasta pochodzić będzie sprzed 1970 roku".

**Ale to zastrzeżenie nie pomaga sceptykowi z „M-3" w rozwiązaniu jego dylematu. Jego próbę spojrzenia w przyszłość, wyobrażenia sobie Łodzi w roku 2000, ogranicza rzeczywistość. On patrzy bowiem z punktu startu, widzi j e d n o tylko podziemne przejście, widzi tych kilka wysokich budynków, które nie tworzą jeszcze zarysu przyszłego centrum, widzi codzienne kłopoty komunikacyjne i ma w uszach hałas ruchu ulicznego. Sceptyk z „M-3" może jedynie przy odrobinie fantazji i wobraźni dostrzec zarys przyszłego miasta, ale przecież kształtowanego w wielkiej skali, rozlokowaniem dzielnic mieszkaniowych i przemysłowych, tworzących się z mozołem arterii komunikacyjnych, poszukiwaniami architektów, nieśmiałymi jeszcze i ciągle bez rozmachu tak właściwego wielkim miastom. Kiedy jednak rzecz sprowadza się do konkretów, do poszczególnych fragmentów przyszłej Łodzi, nasz sceptyk z „M-3" staje bezradny i wraca myślą na bezpieczny grunt współczesnych realiów.**

**Nie mam jednak pretensji ani do Jerzego Samujiły, za odwagę spojrzenia w przyszłość i naruszenia bariery wyobraźni, jak nie mam też pretensji do sceptyka z „M-3". Przeciwnie, byłbym skłonny uznać, że wizja rumuńskiego futurologa Mircea Mality, zarysowana we wspomnianej już „Kronice roku 2000" jest znacznie śmielsza i bardziej drażniąca fantazję, niż to, co „oczyma wyobraźni" dostrzegł Jerzy Samujiło. Ale staram się też myśleć, jak sceptyk z „M-3", który błąkając się po łódzkich osiedlach w poszukiwaniu domu, gdzie mieszkają jego znajomi, do których wybrał się po raz pierwszy, nie bardzo potrafi odróżnić dom od domu osiedle od osiedla. Ten sceptyk z „M-3" — wcale przeze mnie nie wyimaginowany — pyta: — a co my zrobimy z tą ogromną ilością domów, które postawiliśmy i które stawiamy, i którymi chwalimy się? Nie wie on np., że niektóre z bloków, budowanych na początku lat sześćdziesiątych, można już spokojnie przeznaczyć do rozbiórki, a nie czyni się tego tylko ze względu na trudności mieszkaniowe, rozważając po wielekroć potrzeby burzenia domów o wiele starszych również z tych samych powodów. Świadomość tego też wpływa na kształtowanie jego sposobu myślenia i stanowi barierę dla jego wyobraźni.**

**Taką barierę w naszej świadomości tworzy też sposób przebudowy Łodzi. Nikt nie neguje, jak wiele zrobiono w mieście, szczególnie w kilku ostatnich latach, ale też to, co dzieje się na obrzeżach Łodzi, w nowych dzielnicach, które rosną w niebywałym tempie, nie ma takiego wypływu psychologicznego jak to, co powinno dziać się w centrum, które przecież musimy przebudować. Tutaj uporządkowanie jednego kwartału, zabudowanie go w stylu przyszłości, stworzenie warunków pod przebudowę następnego, miałoby znacznie większy wpływ na społeczną świadomość. Wielu sceptyków z „M-3" spojrzałoby innymi oczyma na przyszłość swego miasta. A tak pozostaje nam tylko — jak na razie — wizja Jerzego Samujiły. Dobre i to.**

**LUCJUSZ WŁODKOWSKI**

## PLASTYKA

**URSZULA CZARTORYSKA**

# NATURA I WYOBRAŹNIA

*Andrzej Strumiłło — malarz, ilustrator, scenograf, a także poeta, pokazał w Muzeum Sztuki wystawę, której ogólny sens można by określić jako „katalog wyobrażeniowy", co dotyczy i wystawionych rysunków i fotografii.*

*Świat ma niezmierzoną liczbę form i nieogarnioną rozpiętość skali ich wielkości. Sztuka, chcąc sobie poradzić dzisiaj z ogarnięciem ich, porzuca niejednokrotnie perspektywę sztalugi ustawionej przed krajobrazem, chce chłonąć otoczenie ze świadomością wielorakości skali i z wiedzą o szansie dwojakiego własnego podejścia do świata: analitycznego lub syn-*

KLUB KRYTYKI PLASTYCZNEJ

*tetycznego. Andrzej Strumiłło na wspomnianej wystawie porzuca w zasadzie syntezę (zresztą wyraża ją w cyklu gorzkich w tonacji „fotografii z gazet"), koncentrując się na analizie, zbliżeniu, zestawieniu fragmentów*

Dalszy ciąg na str. 8

FILM

# BIOGRAFIA NA EKRANIE

Historia często pojawia się w polskim kinie. Najczęściej jest to historia w wydaniu kostiumowym. Zwłaszcza wtedy, gdy przenosi się na ekran wydarzenia z odleglejszej przeszłości, nie zdradzające jednoznacznych związków z dniem dzisiejszym.

Historyczny film kostiumowy charakteryzuje się zamierzonym, uzasadnionym konwencją, przerostem malowniczości nad problematyką. Im mniej więc dyskusyjne są jego treści, tym odbiór jest łatwiejszy, tym silniej docierają do nas obrazy fotogenicznych pogoni, polowań z chartami, pojedynków, ślubów i pogrzebów. Takimi filmami są właśnie najbardziej znane i „kasowe" obrazy w dziejach polskiej kinematografii: „Krzyżacy", „Pan Wołodyjowski", „Potop". Filmy kostiumowe ogląda się najchętniej wówczas, gdy skomplikowana teraźniejszość rodzi problemy trudne. Estetyczny świat kinowej iluzji oferuje wtedy środki pokrzepiające — proponuje podziały czarno-białe, postacie silne, mądre i odważne, wyraźnie określone kryteria dobra i zła. Jest jeszcze jedna cecha charakterystyczna filmów kostiumowych: główni bohaterowie — postacie fikcyjne, jak równi z równymi obcują na ekranach z bohaterami historycznymi: z Czarnieckimi, Sobieskimi, Jagiełłami.

Filmy biograficzne różnią się najczęściej od większości kostiumowych w tym właśnie ostatnim względzie. Postacie główne są historyczne; fikcyjne natomiast tłumy, tworzące drugi plan. Z zespolenia tych dwu modeli filmowych powstaje grupa trzecia: filmy biograficzno-kostiumowe, które łączą dążenie do filmowej atrakcyjności z potrzebą odtworzenia i rejestracji dziejów postaci wybitnej oraz z pasją dydaktyczną, która z natury operuje treściami niedyskusyjnymi. Z dzieł o ważnych postaciach historii, takie właśnie filmy stanowią w dziejach naszego kina zdecydowaną większość. Zarówno zapomniana już „Młodość Chopina" i „Warszawska premiera", jak i niedawny „Kopernik", mieszczą się w zaproponowanej tu kategorii. Inne jednak, subtelniejsze zamierzenia od tych, jakie realizowały wymienione filmy, przyświecały autorom najnowszego polskiego filmu biograficzno-kostiumowego „Jarosław Dąbrowski" — próby spojrzenia na epokę, na wydarzenia, które nie znalazły dotychczas odzwierciedlenia w literaturze i filmie. Wybór filmowej konwencji nie sprzyjał jednak tym zamierzeniom.

Jeżeli bowiem film kostiumowy — tworząc fikcyjnego bohatera i wyposażając go w ogólnie cenione, niepodważalne cechy — otacza zarazem postaciami historycznymi, czyni to dlatego, aby uprawdopodobnić sytuację zbyt idealną, by bohaterowi wzorcowemu przydać tło ze „zwykłych" ludzi. Twórca obierający bohaterem postać istniejącą realnie, staje przed zadaniem daleko trudniejszym. Prawdziwi ludzie nanawet po latach rzadko mogą sprostać społecznej potrzebie bohatera idealnego. Nawet ci, stosunkowo mało znani. A do takich właśnie w naszej historii należy przecież Jarosław Dąbrowski.

Ukazanie skomplikowanych dziejów rewolucjonisty — postaci w zasadzie nowej w naszym kinie, w krótkim czasie trwania filmu, zakłada konieczność artystycznego skrótu. Twórca zmuszony jest do dokonania wyboru pomiędzy psychologiczną analizą bohatera, a syntezą jego losów w perspektywie istotnych, przełomowych wydarzeń historycznych. Synteza bardziej odpowiada potrzebie dydaktyki, uformowania bohatera pozytywnego. W „Jarosławie Dąbrowskim" mamy do czynienia z tą drugą ewentualnością.

Film obrazuje trzy etapy działalności dowódcy Komuny Paryskiej: przed Powstaniem Styczniowym, w Rosji i we Francji w 1871 roku, a więc okresy najważniejsze, a zarazem najciekawsze dramaturgicznie. Jak to zresztą w tego typu filmach bywa, właśnie sprawa dramaturgii okazuje się decydująca. Pozytywny wzorzec osobowy nie potrzebuje, niestety, zdradzać się z głębszą refleksją, poważniejsza wątpliwością natury światopoglądowej. Ale takie fragmenty pojawiają się w filmie. Mają jednak charakter raczej deklaratywno-ilustracyjny. Odtwarzający postać tytułową Zygmunt Malanowicz, nie obdarza jej zresztą jakimikolwiek indywidualnymi cechami, co można potraktować zarówno jako aktorską nieudolność, jak i celowe, zamierzone utrzymanie roli w konwencji przedstawiania wielkiej indywidualności historycznej. Skoro o aktorach mowa, nie sposób pominąć interesującej niewątpliwie, najlepszej w filmie, kreacji radzieckiego aktora Aleksandra Kaliagina, która wyraźnie przerasta klimat filmowej rzeczywistości.

Film zrodził się bowiem z potrzeby udokumentowania postępowej tradycji, poprzez odtworzenie na ekranie fragmentu przeszłości. Major Dobrzański z poprzedniego filmu Bohdana Poręby „Hubal" realizował wzorzec patriotyzmu równie imponującego, co ogólnikowego. Postać Jarosława Dąbrowskiego, to portret patrioty — internacjonalisty. Życie osobiste bohatera ukazane w filmie nie ma go uczłowieczać. Stanowi raczej dopełnienie już bogatej w cechy pozytywne sylwetki.

W rezultacie najbardziej cenne w filmie okazują się wartości poznawcze. Okruchy prawdy, niewyraźne, widmowe ślady historii obdarzone cudowną mocą konkretu, prowokują do sformułowania pytań, na które film mógłby próbować odpowiedzieć, a których nie zamierzył postawić. Bo tak naprawdę, to chcielibyśmy widzieć historię także, jako konflikt postaw ludzkich, a nie tylko jako recytację idei poubieranych w kostiumy naszych własnych wyobrażeń. Czasem jednak przeszłość pojawia się w formie zaczerpniętej ze szkolnych podręczników, cóż z tego, że nawet ładnie ilustrowanych.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

# FELIKS ŻUKOWSKI

**„...z półwiecza życia w teatrze, część najdojrzalszą wykroił dla Łodzi Teatralnej".**

*St. Kaszyński*

*Foto: Andrzej Brustman*

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

# Od „Pygmaliona" Do „Pygmaliona"

*Foto: Andrzej Brustman*

17 stycznia 1976 roku zmarł Feliks Żukowski — doniosła o tym poniedziałkowa prasa razem z wiadomością o przyznaniu Mu Nagrody Miasta Łodzi. Jego związek z tym miastem był nierozerwalny; od 1945 roku Teatr Łódzki i Feliks Żukowski rozstawali się tylko na krótko (1949—1952 we Wrocławiu).

**W powojennej Łodzi** rozpoczynał nowe życie teatralne rolą Alfreda Doolittle w sztuce G. B. Shawa „Pygmalion" (1945) w Teatrze Kameralnym Domu Żołnierza. W tym mieście przez wiele lat prowadził Teatr im. S. Jaracza (1953—1955 i 1960—1971), rozwinął działalność reżyserską, stworzył wiele niezapomnianych kreacji aktorskich.

Odszedł aktor do końca nie schodząc ze sceny, ostatnią jego rolą był Alfred Doolittle, ten sam, którym zaczynał w Łodzi przed trzydziestu laty. Bogaty okres od **„Pygmaliona" do „Pygmaliona"**, nakłada się swoim kolorytem na lata startu i młodości teatralnej Feliksa Żukowskiego. Lata te skąpe są w fakty poparte dokumentem, w wydarzenia poparte fotosem i pamięcią ludzką, która jakże jest ulotna. Tu i ówdzie jednak zachowały się fragmentaryczne, acz wymowne dowody wysokiego kunsztu aktorskiego, którym Feliks Żukowski, absolwent Instytutu Reduty i aktor wileńskiej Reduty oczarowywał widownię warszawską lat 1929—1939 (Teatr Ateneum, Kameralny, Comoedia i TKKT).

„**I oto** — pisał W. Natanson — **młody, 31-letni, mało w Warszawie znany aktor, w biednym a ofiarnie pracującym spółdzielczym teatrze „Comoedia" — zagrał po swojemu, w nowy i własny sposób — wyznawcę teorii względności, jednego z przedstawicieli nowego heroizmu w naszej literaturze, dr Przełęckiego**".

Boy i K. Irzykowski porównywali kreację Feliksa Żukowskiego z historyczną rolą Przełęckiego Juliusza Osterwy. „**Pan Żukowski jako Przełęcki, wyraźnie (w pierwszym akcie zwłaszcza) inspirowany Osterwą, później coraz samodzielniejszy, wytrzymał ton do końca.**" Natomiast K. Wierzyński podkreślał nowe spojrzenie na trudną rolę bohatera „Przepióreczki" S. Żeromskiego i pisał o Feliksie Żukowskim, że potrafił przekazać „**surową prawdę**", „**skomplikowanemu bogactwu uczuć, które ukazywał Osterwa, przeciwstawiał młody aktor — prostotę, śmiało dążącą do celu**" — podkreślał W. Natanson.

Obok tej tak pamiętnej i bogato dyskutowanej roli grał Feliks Żukowski w Teatrze Comoedia główne role w sztukach Stanisława Młodożeńca, Leona Kruczkowskiego (adaptacja „Kordiana i chama" oraz sztuka „Bohater naszych czasów" wystawiana po wojnie pt. „Przygoda z Vaterlandem"). „Omawiając rolę Humla (czyli pseudo-Daubmanna) — pisał W. Natanson — **w „Bohaterze naszych czasów" L. Kruczkowskiego, zaobserwowałem, że uwydatniał trafnie całą ewolucję psychologiczną bohatera. Szczególnie dobrze grał w prologu, w scenie odczytowej i w ostatniej odsłonie, po zdemaskowaniu**".

Ten ambitny teatr został jednak zlikwidowany i w miesiąc po premierze „Bohatera naszych czasów" Feliks Żukowski zaangażował się do TKKT, gdzie grał do 1939 roku.

„**Tak się złożyło** — wspomina wielokrotnie już cytowany W. Natanson — **że jako oficer rezerwy** (Feliks Żukowski) **brał udział w tym samym epizodzie wrześniowej kampanii, od którego i ja zaczynałem moją ówczesną wojaczkę, w bitwie nad Narwią**", w której „**dosłużył się młody aktor niezmiernie zaszczytnego wyróżnienia: Krzyża Walecznych. Podobnie piękną kartę zapisał w dobie okupacji. Za pracę żołniersko-konspiracyjną otrzymał w 1947 roku Krzyż Walecznych po raz drugi. W 1944 zostaje aresztowany i osadzony w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen-Oranienburg. Pobyt ten przypłaca chorobą. Ale już pod koniec 1945 roku wraca do pracy, zostaje aktorem w mieście, które się miało stać widownią nowej jego, bardzo wybitnej, aktywności: w Łodzi.**"

Feliks Żukowski lat powojennych to dojrzały artysta teatru, który potrafił zsyntetyzować w swojej twórczości rodowód biograficzny i aktorski w całość spójną i nierozerwalną. Urodzony w Rydze (1904), wychowany w Wilnie przywiózł Feliks Żukowski do Warszawy i potem do Łodzi fascynacje i zdolność budowania charakterów rosyjskich ze szczególną wrażliwością w geście, ruchu i intonacji językowej. A miał w swoim twórczym życiu wiele okazji, aby zaprezentować tę niepowtarzalną perfekcję w kreowaniu rosyjskiego i radzieckiego repertuaru. Na czoło wysuwają się takie role jak: Car Borys w „Puszkinie", Razplujew w „Małżeństwie Kreczyńskiego" A. Suchowo-Kobylina, Lenin w „Człowieku z karabinem" N. Pogodina, tytułowa rola w sztuce S. Alioszyna „Dyrektor", Baszkirow w „Człowieku z teką" A. Fajko, Jegor Bułyczow w dramacie M. Gorkiego, Protasow w „Żywym trupie" L. Tołstoja, Lenin w „Trzeciej patetycznej" N. Pogodina, Biersieniew w „Przełomie" B. Ławreniewa.

O niektórych z tych ról pisano: „**Włodzimierza Iljicza Lenina zagrał po raz pierwszy na scenie polskiej Feliks Żukowski. Znakomite wystudiowanie zewnętrznego charakteru postaci połączyło się w jego interpretacji z trafnym odtworzeniem wewnętrznej pasji, napięcia, dynamizmu Wodza Października. Żukowski był równie przekonywający w przypadkowej rozmowie na schodach z Szadrinem, w scenie gabinetowej, jak i w końcowym przemówieniu, wygłoszonym z wielką, dobitną siłą.**" — pisał St. Marczak-Oborski.

„**Feliks Żukowski** — napisał R. Szydłowski — (...) **stworzył znów postać zasługującą na najwyższe pochwały. Jego dyrektor Stiepanow jest prawdziwym człowiekiem radzieckim, wzruszającym i bliskim nam. Tylko aktor, który głęboko wierzy w to, co mówi ze sceny, który przeżywa tę postać, może przekazać bogactwo jej świata ideowego i uczuciowego widzom. (...) Feliks Żukowski objął niedawno kierownictwo Teatru im. S. Jaracza w Łodzi. Jeśli będzie takim dyrektorem, jakim jest w sztuce Alioszyna — zdobędzie jeszcze niejeden laur nie tylko jako aktor, ale jako kierownik tej ważnej placówki kulturalnej**".

„**F. Żukowski** — zanotował St. Kaszyński — (...) **był rubaszny, zmysłowy, bezpośredni, odważny, kreślił sylwetkę człowieka, który ginie pod ciężarem presji zewnętrznych i wewnętrznych. (...). Nadużywanie środków ekspresjonistycznych, prowadzące aktora aż do naturalistycznej opisowości (...), pojawiło się i tutaj. Aktor ten, tak chętnie występujący w rolach dramatu rosyjskiego i radzieckiego, posiada ku temu szczególne warunki: odnajduje zawsze nieomylnie atmosferę otoczenia, w którym przebywa bohater, a nieco śpiewna, wschodnia intonacja w połączeniu z gestykulacją i ruchem dają zawsze sugestywne wcielenia**".

I jeszcze wypowiedź N. Pogodina o premierze łódzkiej „Trzeciej Patetycznej":

„**Odtwórca postaci Lenina — Feliks Żukowski — jest wielkim, niezwykle subtelnym i głębokim artystą. (...) Na scenie Teatru im. S. Jaracza w Łodzi zobaczyłem niezwykle mądrze, po mistrzowsku przemyślaną w najmniejszych nawet szczegółach, porywająco wyrzeźbioną przez niego postać Wodza Rewolucji. Jest ona nie tylko głęboko ludzka, lecz również oryginalna i swoista, stanowiąca dzieło własnego, samodzielnego spojrzenia na tę gigantyczną indywidualność oczami prawdziwego artysty, przede wszystkim polskiego artysty**".

Już ten fragmentaryczny przegląd recenzji podkreśla niezwykły talent Feliksa Żukowskiego jako „**specjalisty od charakterów rosyjskich**". Ale owa specjalność nie stanowi jedynej formuły, która określać może twórczość tego wszechstronnego aktora, bowiem czuł się równie znakomicie w rolach z innego repertuaru; stosując rozległą skalę środków aktorskich mógł kreować krańcowo różne postaci. Tak grał Murzyna w „Ladacznicy z zasadami" J. P. Sartre'a i starego Moora w Schillerowskich „Zbójcach" oraz Jamesa Tyrone'a w „Zmierzchu długiego dnia" E. O'Neilla, w sztuce, w której obchodził swój pięćdziesiąty jubileusz pracy artystycznej (grudzień 1973).

Był Feliks Żukowski i aktorem, i reżyserem (29 prac), był dyrektorem i kierownikiem artystycznym teatru. Był, nie, ta forma gramatyczna nie odpowiada uczuciom, jakie ogarniają człowieka na wieść o śmierci aktora, albowiem z nim odchodzą postaci nierozerwalnie związane z jego osobowością, odchodzi coś bezpowrotnie nieosiągalnego. Odejście Feliksa Żukowskiego jest tak niezgodne z naturą teatru, którego był częścią, że nie sposób dzisiaj wyczerpująco pisać o rozległej działalności artystycznej aktora, może później, należałoby przecież utrwalić obraz Artysty Teatru, aby nie zamilkł głos, aby gest zamknąć w przestrzeni wyobraźni, aby plastyczne tworzywo nie rozsypało się, a jego „rzeźby" powstałe „w twórczych cierpieniach" nie były tylko czczą „efemerydą".

# HISTORIA ŁODZI

MIROSŁAW WOJALSKI

# CZYM JECHAĆ DO TUSZYNA?

**23 grudnia 1898 roku Łódź otrzymała w gwiazdkowym prezencie elektryczne tramwaje miejskie. Ale do Łodzi ciążyły też Zgierz, Ozorków, Aleksandrów, Konstantynów, Pabianice, Rzgów, Lutomiersk i Tuszyn. Jak i czym pojechać do Łodzi?**

*Foto: Archiwum*

W Łodzi kursują miejskie tramwaje elektryczne, konne dorożki. Z Łodzi wyjeżdżają konne omnibusy, ale cel ich podróży jest inny — łączą miasto z dworcami kolejowymi.

Spółka akcyjna **„Towarzystwo Łódzkich Dróg Żelaznych Miejskich"** przynosi swoim akcjonariuszom pokaźne zyski. **„Towarzystwo Kolei Dojazdowych"** powstało w roku 1899, a od 1908 roku zmieniło nazwę na **„Łódzkie Wąskotorowe Elektryczne Koleje Dojazdowe"**. Założycielami i akcjonariuszami tej spółki byli przemysłowcy łódzcy. Część akcji znajdowała się w rękach kapitalistów zagranicznych. Zadaniem tej spółki było połączenie elektrycznym tramwajem wąskotorowym Łodzi i miast okolicznych.

Prace rozpoczęto we wrześniu 1899 r. Zaplanowano przeprowadzenie torów tramwajowych na poboczu istniejących dróg bitych do Zgierza i Pabianic. Tory zaczęto kłaść w kwietniu roku 1900. 17 stycznia 1901 roku otwarto ruch pasażerski na linii pabianickiej. W dwa dni później — 19 stycznia 1901 roku — uruchomiono pierwsze tramwaje pasażerskie na linii zgierskiej.

Tramwaje podmiejskie, podobnie jak i miejskie, przynoszą spodziewane zyski, akcjonariusze otrzymują pokaźne dywidendy. Po dobrym początku następują lata 1905—1907, które przynoszą spadek zysków. Ale już w 1908 roku tramwaje podmiejskie przewiozły 3,3 mln. podróżnych, a w roku 1909 — 3,5 mln. podróżnych.

W roku 1910 **Łódzkie Wąskotorowe Elektryczne Koleje Dojazdowe** uruchamiają dwie nowe linie: **do Aleksandrowa i Konstantynowa**. W roku 1911 zbudowano fragment **linii tuszyńskiej** od Marysina do Rudy. W tym czasie na liniach podmiejskich pobierano opłaty strefowe w zależności od klasy wagonu. I tak za każdą strefę w kl. III — 5 kopiejek, a w kl. II — 10 kopiejek. Linia Łódź — Pabianice podzielona była na trzy odcinki strefowe.

Wybuch I wojny światowej przerwał okres pomyślnego rozwoju tramwajów. Od sierpnia 1914 roku na skutek mobilizacji i wojny zmniejsza się ruch pasażerski. Rok 1914 przyniósł tramwajom podmiejskim poważnie zmniejszony zysk, a rok następny — deficyt. Podczas walk w pobliżu Łodzi tramwaje podmiejskie przez kilka dni nie kursowały, lub jeździły tylko przez część dnia. Niektóre linie znalazły się w zasięgu działań wojennych.

Jednak już w latach 1915 i 1916 powstała nowa trasa — z **Rudy Pabianickiej przez Rzgów, Tuszyn, do Kruszewa**. Odcinek Tuszyn — Kruszew wykorzystywany był tylko podczas I wojny światowej do przewozu towarów. W pierwszych latach eksploatacji trasa tuszyńska obsługiwana była przez parowozy. **Tramwaj elektryczny do Tuszyna uruchomiono dopiero 1 czerwca 1927 roku.**

Wojna spowodowała nie tylko zmniejszenie ilości przewozów pasażerskich i zahamowała rozwój sieci tramwajowej, wpłynęła również hamująco na kilka następnych lat po jej zakończeniu. Pierwsze tory tramwajowe wybudowano dopiero w roku 1921, na trasie Zgierz — Ozorków, a komunikację na tej linii uruchomiono od kwietnia 1922 roku. Linia ozorkowska, podobnie jak linia tuszyńska, w pierwszych latach istnienia obsługiwana była trakcją parową, którą zastąpiono trakcją elektryczną dopiero w maju 1926 roku.

W 1923 roku wydłużono tory tramwajowe na terenie m. Pabianic od magistratu do dworca kolejowego. ŁWEKD buduje nową trasę z **Konstantynowa do Lutomierska** o długości około 8 km. **Od lipca 1929 r. tramwaj elektryczny dociera do Lutomierska.** Od tego czasu Łódź nie rozwijała sieci tramwajów podmiejskich, mimo gromadzenia środków i przygotowań budowy linii tramwajowej do Brzezin.

W roku 1926 ŁWEKD dysponują 89,3 km torów, zatrudniają 341 osób, po torach kursuje 9 parowozów, 42 tramwajowe tory silnikowe osobowe, 54 doczepne osobowe z 3784 miejscami, 48 doczepnych towarowych i 13 specjalnych. Przewieziono w tym roku prawie 10,5 miliona pasażerów i 24 tysiące ton ładunku.

Koncesja Spółki Akcyjnej ŁWEKD miała wygasnąć w 1982 roku. Po 10 latach, w 1936 roku, 52 tramwaje silnikowe, 70 doczepnych, 427 osób personelu, przewiezionych ogółem prawie 15,5 miliona pasażerów.

ŁWEKD, dążąc do powiększenia swoich zysków od lipca 1934 roku uruchomiły nowy rodzaj trakcji — spalinową czyli **autobusy.** Początkowo na trasie **Łódź—Pabianice—Łask— — Zduńska Wola — Sieradz.** Kursowały tam autobusy Saurer-Diesel, produkowane przez Państwowe Zakłady Inżynierii w Warszawie. Od końca grudnia 1936 roku uruchomiona została linia autobusowa **Łódź—Piotrków—Sulejów**, a od 1937 roku dalsze dwie: **Piotrków—Wadlew—Szadek** i **Łódź—Łagiewniki—Zgierz.** Posiadano zaledwie 15 autobusów.

Po wyzwoleniu, przez pewien czas obydwa przedsiębiorstwa działały oddzielnie. Dyrekcja tramwajów podmiejskich miała nadal swoją siedzibę przy ul. Piotrkowskiej 77 i zajezdnie: w Helenówku, Chocianowicach i Brusie. Stacja wyjściowa tramwajów do Zgierza, Ozorkowa i Aleksandrowa znajdowała się na ul. Nowomiejskiej 13 przy pl. Wolności, stacja wyjściowa linii do Konstantynowa i Lutomierska na ul. Obrońców Stalingradu nr 5, do Pabianic i Tuszyna przy końcu ul. Piotrkowskiej. Tramwaje do Zgierza, Ozorkowa, Aleksandrowa, Lutomierska objeżdżały Plac Wolności dookoła, przeszkadzając tramwajom miejskim.

W 1948 roku nastąpiło połączenie obu przedsiębiorstw, które otrzymały nazwę: **Miejskie Zakłady Komunikacyjne** w Łodzi. W styczniu 1951 roku nazwa ta uległa zmianie na **Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne** w Łodzi.

*Foto: Archiwum*

# LISTY

### DOBRY KONIEC

Dyrekcja Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Łodzi po zbadaniu sprawy wyłączenia telefonu Obywatela Mieczysława Wysmyka, uprzejmie powiadamia, co następuje:

Zwrócono uwagę Wojewódzkiemu Urzędowi Telekomunikacji w Łodzi, odnośnie sprawnej obsługi abonentów nawet wtedy, jeżeli nie dotrzymują terminów płatności rachunków telefonicznych, jak to miało miejsce w przypadku Obywatela (rachunek telefoniczny za miesiąc lipiec i wrzesień 1974 r. opłacony dopiero w grudniu 1974 r.).

Niezależnie od powyższego, Dyrekcja Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Łodzi uprzejmie informuje Obywatela, że w Wojewódzkim Urzędzie Telekomunikacji, każde nieterminowe regulowanie należności miesięcznych, zwielokrotnia powtarzalność bezefektywnych operacji księgowych znacznej grupy abonentów, jaka każdego miesiąca opóźnia terminy płatności.

Mimo nadzoru i nie pobłażaniu pracownikom popełniającym sporadyczne pomyłki, pomyłek takich uniknąć się całkowicie, niestety, nie da przy tysiącach operacji księgowych, jakich dokonuje się każdego miesiąca w likwidowaniu należności telekomunikacyjnych, zwiększanych operacjami bezefektywnymi z przyczyn wyżej podanych.

Reasumując powyższe, DOPiT przeprasza Obywatela za trudności, których nie daje się uniknąć przy wyjaśnianiu zadłużeń. Trudności takie nie występują tak dla jednej, jak i drugiej strony, przy terminowym regulowaniu należności.

Inż. K. CZARNIECKI
z-ca dyrektora Okręgu
Poczty i Telekomunikacji

OD REDAKCJI: O sprawie tej pisaliśmy w 51/52 nr „Odgłosów" w felietonie pt. „DOBRY KONIEC". Dziękujemy za odpowiedź.

★ ☆ ★

### GDZIE LEŻY GDAŃSK

Kim był Mickiewicz — wie chyba każdy Polak, ale na pewno nie każdy Anglik wie kim był Byron. To nie jest dowcip, to autentyczny fakt potwierdzany spostrzeżeniami naszych rodaków odwiedzających Wyspy Brytyjskie. Podobne przykłady można mnożyć, a cóż dopiero gdybyśmy spytali przeciętnego Anglika, co wie o tak egzotycznym kraju jak Polska? Myślę, iż mógłby odpowiedzieć, że stolicą Polski jest Warszawa, że nasza reprezentacja wyeliminowała Anglię z walki o mistrzostwo świata w piłce nożnej, i że produkujemy dobre wódki i szynki

Nie jest to abstrakcja. Swego czasu podróżując autostopem po krajach bałkańskich, spotkałem młodego Anglika, który podobnie jak ja spędzał wakacje, i który w czasie wspólnego czekania w rowie na okazję, zapytany przyznał się, że właśnie tylko tyle wie o naszym kraju. O ileż większe było jednak moje zdziwienie, gdy dowiedziałem się, że mój rozmówca jest studentem Uniwersytetu w Leeds. Równie to smutne, jak fakt, że najbardziej znanym, a dla olbrzymiej większości czytelników za granicą jedynym znanym polskim pisarzem jest ciągle jeszcze Henryk Sienkiewicz. (Spostrzeżenie to zawdzięczam jednemu z programów telewizyjnych.) Z ich punktu widzenia wygląda więc, że po „Quo vadis" nie napisano już w Polsce żadnej dobrej książki, która byłaby w stanie zyskać międzynarodową popularność i uznanie. Zdanie takie jest jednak bronią obosieczną i wskazuje, że część winy za to leży także i po naszej stronie. Na szczęście w tej materii możemy jeszcze wpłynąć na poprawę sytuacji, są jednak pewne wypadki, wobec których stajemy zupełnie bezradni.

Oto biorąc do ręki — ceniony wśród naszych wykładowców i studentów anglistyki słownik wymowy angielskiej („Everyman's English Pronouncing Dictionary"), opracowany przez D. Jonesa, a uzupełniony przez A.C. Gimsona, (obaj to profesorowie fonetyki Uniwersytetu Londyńskiego) — bezskutecznie szukamy w nim hasła „Gdańsk", za to bez większego trudu odnajdziemy „Danzig" (str. 119). Przy tym pedantycznie dokładni autorzy słownika podali również wymowę niemiecką, nie informując jednak, że od trzydziesu lat obowiązuje powszechnie polska nazwa tego starego, nadbałtyckiego grodu.

Podobnie pod literą „B" wciąż figuruje „Breslau" (str. 59), zaś pod „W" nie ma jeszcze „Wrocławia", a przecież większość współczesnych map angielskich ma polską pisownię Wrocławia, Gdańska czy Szczecina, pod którą niekiedy podaje się starą, niemiecką. Gwoli ścisłości dodam jeszcze tylko, że najnowsze wydanie słownika Jonesa pochodzi z 1974 roku. Smutne to, ale fakt.

Trudno więc wymagać od przeciętnego Anglika, aby wiedział coś więcej o Polsce niż spotkany przeze mnie student-autostopowicz, skoro w jego ojczyźnie wydaje się tak opracowane słowniki i leksykony. Dotyczy to bowiem w pewnym stopniu również sławnej encyklopedii „Britanica".

PAWEŁ TOMASZEWSKI

# BOKS

NORMAN MAILER

# MUHAMMAD ALI KONTRA GEORG FOREMAN

Jim Brown powiedział wprawdzie wczoraj, że Ali nie ma w tym spotkaniu żadnych szans, ale Brown jest sportowcem, który przekazuje to, co widzi.

— Wielka runda dla Muhammada Ali! — mówi z przejęciem. — Boksował fantastycznie, chociaż sądzę, że nie starczy mu sił.

Joe Frazier nie zgadza się.

— Wyrównana walka... bez przewagi — stwierdza ponuro.

David Frost: — Jest pan zdania, że Ali nie ma przewagi?

Joe nie przyjechał do Zairu, żeby chwalić Muhammada, zwłaszcza po tym, jak Ali nazwał go ignorantem.

— Wyrównana runda — powtarza. — Ali trafił dwa czy trzy razy w głowę, ale George miał kilka dobrych uderzeń w tułów.

Foreman siedzi na stołku słuchając Sadlera. Wydaje się być nieco rozbawiony, tak jakby w ciągu kilku ostatnich minut dowiedział się czegoś, co przedtem nie miało dla niego większego znaczenia, a teraz specjalnie go nie uradowało. Uśmiecha się do kogoś siedzącego w rzędach dla prasy. Uśmiech jest wymuszony. Naprzeciw niego Ali spluwa do plastykowej miski.

Twarz ma ożywioną, bysto rozgląda się dookoła. Na chwilę przed gongiem wstaje i gwałtownymi ruchami ramion dyryguje dopingiem. Potem rzuca Foremanowi wściekłe spojrzenie. Zaraz po gongu zmienia jednak taktykę. Foreman idzie naprzód i Ali cofa się, nie — Ali pozwala zepchnąć się do rogu w najbardziej niebezpieczne miejsce, tam, gdzie według prawideł boksu czeka go nieuchronna klęska.

Po chwili wrzask tłumu przypominał wycie hamulców rozpędzonego samochodu — Foreman zamknął Aliego w potrzasku i Ali przyjął tę nierówną walkę. Jego rękawice zamigotały w świetle reflektorów z oszałamiającą szybkością. Ten sposób obrony zaskoczył wszystkich zupełnie — zwykle jak najszybciej ucieka się z rogu unikiem albo ciosem — Ali natomiast w nim pozostał, a ponieważ trafiał znacznie częściej George zaczął się cofać i to dość nieskładnie — tak jakby przypomniał sobie przegrane bójki uliczne, w których brał udział jeszcze jako mały, przestraszony chłopiec.

Tak, Ali zdecydował się na psychologiczne posunięcie i zrobił właściwy wybór. Wydostał się z rogu tak jak przedtem — to znaczy trzymając szyję Foremana w uścisku tak silnym, że w twarzy George'a było coś z melancholii cielaka obezwładnionego przez kowboja.

Sędzia rozdzielił ich i zaraz potem Ali znów zaczął się cofać w kierunku lin. Foreman szedł za nim spychając go do tyłu szybkimi uderzeniami. W czasie przerwy sekundanci powiedzieli mu zapewne: „Pokaż mu, że twoje pięści są równie szybkie!". Foreman zaczął to udowadniać. Zupełnie nieoczekiwanie trafił Aliego ciężką prawą prostą i Ali przywarł do niego próbując przetrzymać szok. Zaraz po walce przyznał, że kilka uderzeń omal nie zwaliło go z nóg i ta prosta z pewnością do nich należała. Sędzia rozdzielił ich, ale zaraz potem Ali znów oparł się plecami o liny. Dopiero w drugiej minucie tej rundy udało mu się trafić George'a dobrą prawą prostą. Ale Foreman natychmiast zaatakował i znów zepchnął Aliego na liny — jego ciosy raz po raz rozbijały zasłonę przeciwnika. George zaczął dyktować tempo i sposób walki. — Ali był w odwrocie i George znów go zaskoczył. Potężne uderzenie! Ali przylgnął do Foremana, objął mu szyję rękawicami, a lewym i prawym przedramieniem ścisnął mu ramiona i tak trwał wstrząsany i spychany do tyłu na współ tłumionymi ciosami, których Foreman mu nie szczędził.

Ale właśnie wtedy musiał dokonać oceny swojej taktyki, bo mniej więcej w połowie rundy zdecydował, w jaki sposób ma dalej rozgrywać tę walkę. Wiedział już, że jego prawe proste nie są w stanie poważnie osłabić Foremana, wiedział też, że musi zrezygnować z klinczów, które i tak były wątłą zaporą — tracił punkty, był bity i nic nie zyskiwał.

Ali bez wahania zaczął realizować swój wielki plan. W połowie rundy położył się na linach i w tej niewygodnej, karkołomnej wręcz pozycji odchylając się czasem o dziesięć, dwadzieścia i więcej stopni od pionu boksował już do końca walki. To prawda, że do tej właśnie ciężkiej godziny przygotowywał się przez ostatnich dziesięć lat.

Na kilka sekund przed końcem rundy Foreman zadaje najsilniejsze uderzenie tej walki — ekspresowy pociąg prawego sierpa wywołuje gwałtowne poruszenie na stadionie, ale jest zbyt wolny — Ali przepuszcza go koło siebie dokładnym płynnym unikiem. Siła ciosu pociągnęła Foremana do przodu — stracił równowagę i przez moment wyglądało na to, że Ali wypchnie go z ringu. Nie zrobił tego jednak i tylko wycedził poprzez sztuczną szczękę: „Znowu nic. Kompletne pudło!".

Rozlega się gong.

(cdn)

Oprac. J. TWORKIEWICZ

# CENTRUM TAJNEGO FRONTU XVI

ANDRZEJ BLAJER

# ZERWANA NIĆ

**„Około wpół do pierwszej, gdy radiotelegrafiści pracowali już pełną parą, jakaś wprawna ręka bezszelestnie otworzyła zamek drzwi zewnętrznych, następnie — prowadzących do pokoju, w którym znajdowała się radiostacja. Stukot klucza nadajnika tłumił wszelkie szmery. Raptownie otwarto drzwi i do pokoju wtargnęło kilku policjantów z rewolwerami gotowymi do strzału. Stało się to tak nagle, że „Maud" nie miała nawet czasu oderwać ręki od klawisza, a tym bardziej przekazać Centrali sygnał alarmowy".**

W taki oto sposób Sandor Rado w swej książce **„Dora" nadaje"** przedstawia akcję policji w willi Hamelów, przy Florissant 192. Relacje o tym fakcie oraz o dalszym przebiegu wypadków „Dora" otrzymał od „Edwarda" z genewskiego więzienia Saint-Antoine dzięki jednemu ze strażników, który podjął się roli „listonosza". Z przekazanych informacji wynikało, iż w czasie rewizji tak w willi, jak i później w domu przy ulicy Carouge, policja znalazła niezbite dowody rzeczowe w postaci nadajników (w tym również ukrytego u Hamelów nadajnika „Róży"), zaszyfrowanych tekstów, fragmentów książki kodowej, harmonogramu łączności radiowej itp. Na tym jednak władze bezpieczeństwa nie poprzestały.

Jeszcze tej samej nocy, z **13 na 14 października 1943 r.** BUPO i kontrwywiad przeprowadziły podobną akcję, tym razem w lokalu zajmowanym przez „Różę" na ulicy Henri Mussarda nr 8. Wprawdzie jej samej już tam nie było, bowiem poprzedniego dnia przeniosła się do Hansa Petersa, policja jednak musiała posiadać dobre informacje, gdyż nad ranem odnalazła oboje w mieszkaniu przyjaciela „Róży". Rewizja, jaką przeprowadzono w domu Margrit Bolli, dała rezultat połowiczny, nie znaleziono bowiem nadajnika (który, jak wiadomo, zabrał „Edward"), lecz było za to kilka innych dowodów jak części zapasowe do radiostacji, tabela sygnałów wywoławczych oraz kilka stron książki szyfrów, za którą służyła powieść Grety von Urbanitzky pod znamiennym tytułem „Es begann im September" (Zaczęło się we wrześniu). W rezultacie „Róża" wraz ze swym przyjacielem została umieszczona w areszcie prewencyjnym (Hans Peters przebywał tam tylko kilka dni, po czym wypuszczono go na wolność).

O tym, że coś musiało się stać, Sandor Rado doszedł do wniosku już następnego dnia po akcji policji. Odnosząc materiały przeznaczone dla Centrali na ulicę Carouge, nie zastał nikogo z Hamelów. Wieczorem upewnił się w tym przekonaniu, natrafiając w „Tribune de Geneve" na lakoniczną notatkę o aresztowaniu przez policję federalną pewnej grupy obcych agentów. Przypuszczenia Rado, że chodzi o radiotelegrafistów jego grupy wywiadowczej, potwierdził jeszcze tego wieczoru jeden z jego przyjaciół.

Nad całą organizacją zawisło ogromne niebezpieczeństwo, jej istnienie było poważnie zagrożone. Cios władz federalnych był celny i do tego został zadany w najbardziej czułe miejsce siatki — w jej radiostacje. Rado wiedział doskonale, iż likwidacja przez kontrwywiad łączności radiowej z Centralą oznacza praktycznie kres działalności kierowanej przezeń grupy. O innym kontakcie z Moskwą nie mogło być zresztą mowy. Tymczasem z trzech nadajników pozostał tylko jeden — „Jima" w Lozannie. Nawiązanie łączności z Genewy nie wchodziło w grę tak ze względu na brak niezbędnej aparatury, jak i zaufanych ludzi potrafiących obsługiwać radiostacje.

**„Dora" postanowił więc uprzedzić „Jima"** o grożącym mu niebezpieczeństwie, powiadamiając go jednocześnie o wpadce w Genewie. W czasie spotkania z „Jimem" **17 października 1943 r.** Rado wysłał telegram do Centrali z informacją o trudnej sytuacji, w jakiej znalazła się grupa wywiadowcza. Następnie podobne spotkanie jak z „Jimem" „Dora" odbył z „Pakbo" w Bernie. Jemu również zalecił jak najdalej posuniętą ostrożność w kontaktach. Wracając do Genewy Rado układał plan dalszego działania. Sytuacja, w jakiej się znaleźli, była niezwykle trudna. Przede wszystkim nie można było dopuścić do utraty łączności z Centralą. Należało więc strzec jak oka w głowie jedynej radiostacji, która pozostawała w dyspozycji grupy. „Dyrektor" już wcześniej zalecał aby za jej pośrednictwem przekazywano do Moskwy wyłącznie ważniejsze informacje i tylko wówczas, kiedy jest to niezbędnie konieczne. „Jimowi" polecono, aby uruchamiał swoją radiostację o różnych porach nocy, przy czym seans łączności nie powinien trwać dłużej niż 15—20 minut. Poza tym trzeba było pomyśleć o znalezieniu nowych radiotelegrafistów, co wcale nie było łatwym zadaniem. Nie można również pozostawić bez pomocy aresztowanych członków grupy. W porozumieniu z Centralą Rado postanowił czym prędzej nawiązać kontakt z przebywającymi w areszcie Hamelami oraz Margrit Bolli i wynająć wypróbowanego adwokata, chodziło bowiem o to, aby na rozprawie wystąpił on jako oskarżyciel faszyzmu.

Początkowo „Dora" pocieszał się myślą, że policja i kontrwywiad nie wie zbyt wiele o działalności grupy i jego samego jako jej szefa, jednak już wkrótce z następnych listów przekazanych przez „Edwarda", doszedł do wniosku, że jest znacznie gorzej niż sądził pierwotnie. Na przesłuchaniu inspektor policji pokazał Hamelom fotografię Sandora Rado, którego nazwał szefem organizacji i w zamian za przyznanie się do współpracy z nim, obiecał wypuścić wszystkich aresztowanych radiotelegrafistów na wolność. Hamelowie jak i Bolli oczywiście kategorycznie zaprzeczyli, iż utrzymywali jakiekolwiek kontakty z mężczyzną z fotografii. Wydaje się jednak, że nie przekonali tym Szwajcarów.

Po przeczytaniu treści listu Rado zamyślił się głęboko. No cóż, nie mogło być wątpliwości, iż pewność siebie, z jaką działała policja była uzasadniona faktem ścisłej współpracy z siecią agentów i prowokatorów niemieckich w Szwajcarii takich, jak np. Rameau-Zweig. Niektóre informacje mogli bowiem otrzymać wyłącznie od nich. Sytuacja stała się zatem tak dalece poważna, iż dalsze istnienie grupy stanęło pod znakiem zapytania, o ile nie przejdzie ona do ścisłej konspiracji. Rado oczywiście zdawał sobie sprawę, iż taki krok pociągnie za sobą znaczne ograniczenie działalności sekcji a może nawet okresowo — jej zawieszenie, lecz nie można było postąpić inaczej, gdyż ryzyko w postaci przerwania jedynej pozostałej nici, jaka łączyła grupę z Centralą było bardzo wielkie. Za takim posunięciem przemawiała również wiadomość, jaką Edmond Hamel przekazał z więzienia 20 października. W czasie jednego z kolejnych przesłuchań dowiedział się od inspektora policji, iż **grupa pelengacyjna już penetruje okolice Lozanny** w poszukiwaniu trzeciego, a zarazem ostatniego nadajnika organizacji „Dory". To ostatecznie zaważyło na podjęciu przez Sandora Rado decyzji o przejściu do pracy w warunkach ścisłej konspiracji, co jednak wcale nie było łatwe.

**Policja bowiem już od dłuższego czasu bacznie śledziła szefa radzieckiej grupy wywiadowczej,** choć zapewne nie domyślała się wówczas, że o wywiad właśnie tego kraju chodzi. Z materiałów śledztwa wynikało, iż kontrwywiad szwajcarski sądził początkowo, że organizacja pracuje na rzecz któregoś z wywiadów alianckich: angielskiego bądź amerykańskiego. Zresztą „Róża" w swych późniejszych zeznaniach, kiedy policja zmusiła ją przedstawieniem niezbitych dowodów do przyznania się, iż współpraca z „Dorą", „Pakbo" i „Jimem" — powiedziała, że działała na rzecz Wielkiej Brytanii i USA. Poza tym „Jim" także utrzymywał, iż władze lozańskie uważają go za pracownika Intelligence Service. „Dora" postanowił więc spróbować, czy nie dałoby się bardziej wykorzystać owego „brytyjskiego parawanu". W związku z tym wysłał do Centrali radiogram **z prośbą o pozwolenie „nawiązania kontaktu z Anglikami i kontynuowania pracy w nowej, bardziej skomplikowanej formie".** „Dyrektor" jednak uznał tę propozycję za nie do przyjęcia w istniejącej sytuacji i polecił Sandorowi Rado, aby ukrył się gdzieś na 2—3 miesiące. Wkrótce więc „Dora" umieściwszy swą żonę Lenę jako chorą w jednej z klinik, zaś synów pozostawiwszy opiece jej matki, postanowił zamknąć „Geopress" i zniknąć. Tak oto na początku listopada „Dora" uśpiwszy czujność agentów policji uwolnił się spod jej nadzoru i spotkawszy się jeszcze raz z „Jimem" celem omówienia dalszych kontaktów między nimi, ukrył się w mieszkaniu znajomego lekarza w starej części Genewy. Po pewnym czasie znalazła się tam także jego żona. Aby nie narażać się na wytropienie przez władze bezpieczeństwa, żadne z nich nie opuszczało kryjówki. Kontakt z nimi utrzymywał „Jim" odwiedzając ich 2—3 razy w tygodniu oraz „Sissy", która pojawiła się zaledwie dwa razy. Jednakże skuteczna działalność grupy, nawet w tak szczątkowej formie, wymagała rozszerzenia kontaktów. Rado postanowił zatem, iż należy zorganizować spotkanie „Jima" z „Pakbo", aby informacje dla Centrali były przekazywane bez pośrednictwa szefa grupy. „Pakbo" dostarczał bowiem materiały bardzo regularnie i niektóre z nich trzeba było szybko przekazywać do Moskwy.

**Tymczasem jednostka pelengacyjna,** ta sama, która zlokalizowała obie genewskie radiostacje, natrafiła w Lozannie na trop trzeciej z nich — radiostacji „Jima". Miało to miejsce już w końcu października 1943 roku, zaś 5 listopada, jak wynikało z raportu przedłożonego władzom przez dowódcę oddziału pelengacyjnego podporucznika Maurice'a Trevera, ustalono dokładny adres lokalu, w którym pracował ów nadajnik: ulica Longeraie nr 2, IV piętro, mieszkanie zajmowane przez Anglika nazwiskiem Alexander Foote. W następnych dniach zainstalowano w Lozannie stację podsłuchową, której obsługa ściśle współpracując z BUPO namierzała radiostację „Jima" (oznaczono ją symbolem LC). Rezultatem pracy jednostki Trevera było ustalenie, że stacja, z którą Foote utrzymuje łączność ma sygnał wywoławczy OVV i znajduje się na terytorium ZSRR.

**Służba bezpieczeństwa i kontrwywiad** postanowiły przystąpić do akcji, zaś datę jej ustalono na noc **z 18 na 19 listopada 1943 roku.** Akcja „Radio-7" nie doszła jednak w ustalonym terminie do skutku, gdyż owego dnia radiostacja nie pracowała. Postanowiono więc spróbować następnej nocy. „Jim", pomimo zachowywania daleko posuniętych środków ostrożności nie zorientował się, że przeciwnik jest już tak blisko. A był on w istocie już bardzo blisko. W nocy z 19 na 20 listopada agenci policji i służby bezpieczeństwa ukryci na klatce schodowej domu, w którym mieszkał Alexander Foote, niecierpliwie oczekiwali kolejnego seansu łączności. To, co niebawem nastąpiło, tak oto przedstawia sam „Jim":

**„Późnym wieczorem, 19 listopada, postanowiłem wywołać Centralę (nie zgłaszałem się od 17 listopada, by utrudnić namiar) i zapytać o polecenia dla szefa, z którym miałem się spotkać następnego dnia. Nadałem swój radiogram i zacząłem notować odpowiedź Centrali. Właśnie wtedy, o godzinie 0.45, do mieszkania wtargnęła 15-osobowa grupa policjantów. Łomem wyważyli drzwi, po czym z bronią w rękach wpadli do pokoju. Przez tych kilka minut udało mi się spalić depesze nad płomieniem świecy, następnie jednym uderzeniem młotka rozbiłem aparat. Do radiostacji podbiegło dwóch techników, próbowali ją uruchomić, ale bezskutecznie. Policja znała sygnał wywoławczy Centrali — OVV i pięć spośród moich siedmiu sygnałów".**

Wkrótce po aresztowaniu „Jima" miało się wyjaśnić, skąd policja miała tyle dokładnych informacji o grupie Sandora Rado. To, co Foote zdołał ustalić w następstwie pierwszych przesłuchań, całkowicie potwierdziło przypuszczenia „Dory", iż kontrwywiad szwajcarski ściśle współpracował z SD. Od niej bowiem dowiedział się o istnieniu i działalności siatki, od niej również otrzymał informacje o orientacyjnej lokalizacji radiostacji. Wreszcie od kontrwywiadu SS Szwajcarzy musieli otrzymać zdjęcie Foote'a (prawdopodobnie dzięki Wilmerom) i dowiedzieć się, że jest on członkiem grupy „Dory". W pewnym sensie potwierdził to także przesłuchujący Foote'a inspektor Knecht z policji federalnej. Powiedział on „Jimowi", iż pierwotnie służba bezpieczeństwa nie miała wcale zamiaru tak szybko go aresztować, lecz gdy przechwycono skierowane doń polecenie Centrali, aby natychmiast przeszedł do konspiracji, zmieniono ów plan.

Jednak, jak się później okazało, nie tylko obawa przed utratą śladu była tego powodem. Osoba „Jima" interesowała bowiem nie tylko samych Szwajcarów, ale przede wszystkim tych, którzy przekazali im informacje o radiotelegrafiście z Lozanny — to jest Niemców. Walterowi Schellenbergowi i jego agentom wydawało się że „Jim" utrzymuje także kontakt z nielegalną radiostacją na terenie południowych Niemiec. To właśnie mógł być ślad, którego od tak dawna bezskutecznie poszukiwali. Wykorzystując „Lorenza" i „Laurę" szef kontrwywiadu SS usiłował dokładniej zorientować się w kontaktach „Jima", co jednak zakończyło się niepowodzeniem, gdyż, Foote, nabrawszy podejrzeń, zerwał kontakt z Wilmerami. Wobec takiego obrotu sprawy SD postanowiła działać inaczej. Opracowano mianowicie plan porwania Alexandra Foote'a. Plan ów, którego szczegóły znajdowały się w archiwach RSHA, przewidywał, że akcja nastąpi **23 listopada 1943 roku.** Szwajcarzy musieli się jednak o tym dowiedzieć wcześniej, gdyż inspektor Knecht wyraźnie powiedział „Jimowi", iż policja aresztując go, zarazem uratowała mu życie.

Choć w czasie śledztwa Foote nie przyznał się do współpracy z grupą „Dory", twierdząc, że działał całkowicie samodzielnie na rzecz jednego z państw alianckich i z radiotelegrafistami aresztowanymi w Genewie nic go nie łączyło, to jednak Rado, dowiedziawszy się, że on także znalazł się w więzieniu, postanowił zmienić swą dotychczasową kryjówkę. Na początku stycznia 1944 roku przeniósł się więc do nowego schronienia, które przez prawie 11 miesięcy stało się jego dobrowolnym więzieniem. O jakiejkolwiek działalności wywiadowczej nie mogło już być mowy. Policja nadal prowadziła gorączkowe poszukiwania szefa grupy, zaś szanse na nawiązanie kontaktów z Moskwą w istniejących warunkach były praktycznie równe zeru. Dla „Dory", jak pisze w swych wspomnieniach, był to najcięższy okres w życiu, przebywał wprawdzie na wolności, lecz bez możliwości działania, gdyż ostatnia nić, jaka łączyła jego grupę z Centralą, została ostatecznie zerwana.

# PLASTYKA

# NATURA I WYOBRAŹNIA

Dokończenie ze str. 5

*rzeczywistości. Wspólną zasadą jego prac jest to, że każdy rysunek składa się z 25 pól, z których każdy, jak w atlasie czy katalogu detali maszyn, ukazuje podobny motyw z kolejnymi odchyleniami od pierwowzoru: są to zestawy np. 25 różnych dziobów ptasich, różnych zgeometryzowanych zarysów kształtu istniejących na mapie wysp, lub 25 wersji lekko skręconego włosa. Nieprawdą jest, że taka twórczość wykracza poza sztukę. Właśnie artysta nadaje takim a nie innym zestawom wewnętrzną spójnię, a ponadto wspólny kontekst, aurę dociekliwości skojarzonej z wyobraźnią.*

*Strumiłło jest przewrotny: w przekrój kwiatów wtrąca fragmenciki ciała ludzkiego, w monety starorzymskie — ikonografię XX-wieczną, profile ludzi wykrzywia paradoksalnymi grymasami. Daje do zrozumienia, że widzenie świata cechujące nas, ludzi XX wieku, nawet pozornie najobiektywniejsze, jest zmącone przez naszą osobowość, kaprysy, skojarzenia pamięci, nieraz marzenia erotyczne, (surrealiści już, poeci, filmowcy, malarze, ukazywali każdą wizję przez pryzmat tajemniczych zakamarków psychiki, która rządzi rezultatem spięcia świata rzeczywistego z wyimaginowanym).*

*Strumiłło także i tematy rzeczy pozornie fragmentarycznych, jak rysunek 25 faz stopniowo ogryzanego jabłka czy 25 możliwości wyłamania zęba w grzebieniu, adresuje do widza obdarzonego wyobraźnią, daje bodziec do myślenia, że nie chodzi o ten czy inny błahy przedmiot, lecz liczbowy wymiar niezliczonych możliwych etapów każdego procesu w naturze, który na naszych oczach się dzieje, a na który wystarczy spojrzeć z bliska uważnie: na przykład procesu niszczenia, przemijania, zużycia, albo na odwrót — narastania, rozkwitania, wydawania owoców, z których każdy, podobny gatunkowo, jest przecież nieco inny, aż wreszcie procesu powstawania wybuchów na Słońcu, nieskończenie różnokształtnych, bo i je Strumiłło rysował. Podobnie wrażliwy na możliwości morfologiczne różnorakich kształtów przyrody jest artysta z Łodzi, Antoni Starczewski, który w grafice na swój sposób tworzy „katalogi" np. listków i owoców, a dalej — np. kształtów liter pisanych odręcznym pismem, z czego wynika jakby teza o nieustannej współzależności między tym, co przypadkowe i tym co nieprzypadkowe, zaprogramowane.*

*Andrzej Strumiłło wie, że tworząc także rysunek niemal kreślarsko „neutralny", dotyczący geometrii np. wektorów, usytuowania punktów na płaszczyźnie — sam jest „podszyty" porządkami natury i jej ograniczeniami. Dlatego między innymi czyni nieraz aluzje do budowy kryształów, do kształtu kuli, do zarysu cienia, który jest wzorem płaszczyzny zarysowanej najoszczędniej i najbardziej geometrycznie dzięki padaniu promieni światła.*

*Artysta, który fotografował od wczesnej młodości, podróżował po równinach Mongolii, przełęczach Himalajów, wyraża swymi zdjęciami podobne urzeczenie dla logiki natury, jak to czyni rysunkami. Skośne linie usypisk, kształt toczonych przez wodę kamieni, płaskość horyzontu i ślady kraba — demonstrują zapierającą dech w piersiach różnorodność, rozrzutność natury, zadziwiającą równowagę między tym, co ostateczne i uporządkowane, a tym, co się staje, rozrasta, płynie, kruszeje, gnije. Chyba w tym kontekście można patrzeć i na ostatnie rysunki Strumiłły, tzw. nie skończone. Są to np. szerokie pasy, na wpół tylko wypełnione smolistą czernią, przywodzące na myśl pracę plakacisty, przerwaną nagle. Rysunki te każą myśleć o pierwszych chwilach deszczu (których nigdy nie zapamiętujemy), o momencie wytrysku lawy, o momencie rozpoczęcia napełniania formy płynną stalą. Znów „natura" i „świadomość" zbiegają się dzięki decyzji artysty, natura podpatrzona jest w momencie najbardziej dynamicznym, zawieszonym, zanim przybierze kształt, ku któremu dąży.*

*„Fotografie z gazet", które Strumiłło montuje od wielu lat z ilustracji prasowej, nadają stosunkowi do świata perspektywę ludzką: mówią o chaosie i kontrastach bytowania, o potrzebie solidarności i krytycyzmu. Mówią, że cisza przyrody i zgiełk zbiegowisk to dwie strony tego samego świata, w którym żyjemy.*

URSZULA CZARTORYSKA

*„Muszloportrety", tusz, papier.*

# ŚWIAT • POLITYKA • WYDARZENIA • KOMENTARZE

## U PRZYJACIÓŁ

* * *

**Rozmach, z jakim zagospodarowuje się wielkie bogactwa naturalne Syberii i Dalekiego Wschodu, jest źródłem inspiracji dla wielu pisarzy radzieckich. Powstaje bogata, interesująca literatura, towarzysząca przemianom, jakie zachodzą na tych ziemiach. Obszerną informację na ten temat składa w tygodniku „Literaturnaja Rosija", krytyk i literaturoznawca, Siergiej Czuprynin. Omawiając najciekawsze utwory pisarzy tych ziem, autor podkreśla, że często powtarzającym się wątkiem w ich twórczości, jest troska o zachowanie ciągłości tradycji, przerzucanie pomostu między przeszłością i teraźniejszością.**

* * *

**27 stycznia 1826 r. urodził się wybitny pisarz rosyjski, Michał Sałtykow-Szczedrin, jeden z najznakomitszych przedstawicieli gatunku satyrycznego w literaturze europejskiej.**

**Sałtykow, bo tak brzmiało jego prawdziwe nazwisko, w utworach swoich obnażał schorzenia w życiu społeczno-politycznym Rosji, oskarżał panujący system, przedstawiając bezprawie, okrucieństwo, głupotę i sprzedajność urzędników, marazm inteligencji, wskazując beznadziejną wegetację ludu rosyjskiego, pogrążonego w ciemnocie i bezlitośnie wyzyskiwanego. Do najwybitniejszych utworów Sałtykowa-Szczedrina należą, znane również w Polsce, powieści „Dzieje pewnego miasta" i Państwo Gołowlewowie".**

**Sałtykow-Szczedrin pochodził z zamożnej rodziny ziemiańskiej, ale całą swoją twórczością dowiódł, że nic go z tą klasą nie łączyło. Już jako młody człowiek oskarżony został o „rozpowszechnianie rewolucyjnych idei" i skazany na zesłanie do Wiatki, gdzie przebywał 8 lat.**

**Ważne miejsce w dorobku pisarskim Szczedrina zajmują bajki, w których poddawał ostrej krytyce drażliwe problemy społeczno-polityczne i obyczajowe ówczesnej Rosji.**

**Dla uczczenia 150 rocznicy urodzin M. Sałtykowa-Szczedrina w wielu miastach Związku Radzieckiego odbyły się prelekcje i wykłady, w bibliotekach i domach kultury zorganizowano wiele wystaw oraz konferencje naukowe w Moskwie, Leningradzie i Kalininie, gdzie także odsłonięto pomnik wybitnego twórcy. Radzieckie wydawnictwa przygotowały masowe edycje utworów pisarza.**

* * *

**„Literaturnaja Gazieta" przynosi ciekawą wypowiedź znanego pisarza, Jurija Bondariewa. Oto jej fragmenty:**

**„Jest sprawą oczywistą, że słowo drukowane stanowi niezastąpiony pomost nie tylko pomiędzy poszczególnymi ludźmi, ale także między człowiekiem a środowiskiem, między człowiekiem a społeczeństwem. Podobnie, jak literatura, funkcje takiego pośrednika spełnia kino, które w naszych czasach zdobyło pozycję pełnoprawnej dziedziny sztuki. Dlatego cieszę się, że mój film „Gorący śnieg" zdobył nagrodę państwową RFSRR...".**

**„Tworzy nie tylko pisarz, scenarzysta i reżyser. Twórcą jest także czytelnik i widz. Drugi etap aktu twórczego odbywa się w czasie lektury lub w czasie oglądania filmu. Jest to najszlachetniejszy proces poznania. Pisze się książki i kręci filmy, aby ten proces mógł nastąpić...".**

**„Niezależnie od tego, czy utwory artystyczne są poświęcone latom wojny, czy dniom pokoju, powinny one przynosić prawdę, to znaczy ukazywać istotę socjalizmu i historii, energię ducha, siać ziarno dobra i człowieczeństwa...".**

**„Obecnie pracuję nad scenariuszem według powieści „Brzeg" i piszę nową powieść o naszych współczesnych".**

* * *

**Deutsche Staatsoper w Berlinie wystąpiła ze spektaklem opery Albana Berga „Wozzeck" w 50 rocznicę jego prapremiery. Berg napisał tę operę wg sztuki Karla Georga Buechnera w latach 1917—1920. Utwór ten będący oskarżeniem panującego ustroju społecznego w okresie panowania faszyzmu, był zabroniony. Od 1950 r. opera „Wozzeck" znajduje się stale w repertuarze Staatsoper. Obecna inscenizacja Wernera Kelcha jest czwartą z kolei. Orkiestrą dyrygował gościnnie Siegfried Kurz z Drezna, jako Wozzeck wystąpił Karl Heinz Stryczek, a jako Maria — Gisela Schroeter.**

## POŁUDNIOWY WIETNAM

# ZMIERZCH SAJGOŃSKICH „KRÓLÓW"

**Tymczasowy Rewolucyjny Rząd Republiki Południowego Wietnamu podejmuje wciąż nowe inicjatywy zmierzające do uzdrowienia południowowietnamskiej ekonomiki, do odbudowy gospodarki narodowej zniszczonej przez wojnę i podniesienia poziomu życia ludności. Ważnym elementem działania rządu w tej dziedzinie jest ofensywa przeciwko pozycjom kompradorskiej burżuazji, inaczej mówiąc — przeciwko agentom obcych wyzyskiwaczy, spekulantom ukrywającym towary pierwszej potrzeby, którzy przedtem ściśle współpracowali z marionetkowym reżimem Thieu, a obecnie usiłują prowadzić ekonomiczny sabotaż.**

W grudniu ub. roku pracownicy sajgońskiej służby bezpieczeństwa przeprowadzili rewizje w kilkudziesięciu domach, należących do najbogatszych — głównie chińskich — rodzin w stołecznym rejonie Szolon. Tak rozpoczęła się kampania, która objęła cały kraj. Aresztowano kilkuset spekulantów i kombinatorów „czarnego rynku", skonfiskowano należące do nich składy towarów, jak również do osób, które zdążyły zbiec za granicę. Aresztowanych oskarżono o działalność spekulacyjną na wielką skalę i naruszenie innych zarządzeń o charakterze ekonomicznym.

W tym samym czasie sajgońskie gazety poinformowały społeczeństwo o 14-punktowej deklaracji rządowej, w której mowa o decyzjach zmierzających do rozwoju przemysłu i handlu, jak również o położeniu kresu działalności kapitalistów — kompradorów, którzy zmonopolizowali i, wbrew obowiązującemu prawu, ukryli wiele towarów z intencją wywołania chaosu na rynku.

Kompradorami — jak informuje tygodnik „Far Eastern Economic Review" (Hongkong) — nazywa się tutaj Chińczyków, uważanych za agentów zagranicznych kompanii, którzy prowadzą również handel z Chinami. W Południowowschodniej Azji stworzyli oni własne imperia handlowe.

Ulicami miasta przeciągały demonstracje robotników, drobnych kupców, gospodyń domowych, przedstawicieli różnych warstw społecznych. Demonstranci żądali ukarania osób, trudniących się spekulacją i ukrywaniem towarów, uporządkowania systemu handlu detalicznego i wprowadzenia kontroli cen. W centrum Sajgonu odbyła się wielotysięczna demonstracja, w której wzięli udział przedstawiciele różnych związków zawodowych. Zza witryn sklepowych ostrożnie wyglądali kupcy. Inne grupy demonstrantów zapełniły centrum handlowe dzielnicy nazywanej do niedawna „dzielnicą europejską". Wśród uczestników demonstracji nastrojonych szczególnie nieustępliwie, byli robotnicy chińskiego pochodzenia z dzielnicy Szolon, w której mieszka blisko połowa całej ludności chińskiej, osiadłej w Południowym Wietnamie.

### Gospodarczy sabotaż kompradorów

Wszystkie te zarządzenia, o których poinformowano ludność miasta za pośrednictwem miejskiego systemu radiowego, wywarły silny wpływ na ceny rynkowe. Tego samego dnia, po południu, na ogromnym centralnym rynku miasta zaobserwowano mnóstwo produktów żywnościowych i wyrobów tekstylnych, jednakże handel przebiegał wyjątkowo ospale, bowiem to tu, to tam wybuchały spory między kupującymi a sprzedawcami. Od południa ceny zaczęły spadać.

Gdy podano do wiadomości, iż w składach „króla tekstylnego", La Ngija, wykryto 4 miliony metrów tkanin jedwabnych i bawełnianych, ceny na te wyroby spadły od 30 do 50 proc. Wiadomość o wykryciu zapasów produktów żywnościowych spowodowała gwałtowny spadek cen na cukier. Cena rulonu siatki przeciwko moskitom spadła, dosłownie na oczach z 32 tysięcy do 18 tysięcy piastrów. (Według oficjalnego kursu 800 piastrów miało równowartość jednego dolara. 22 września ub. roku w Wietnamie Południowym wprowadzono wymienny kurs waluty w stosunku 500 starych piastrów za 1 nowy).

„Czego brakowało na rynku — pisały nazajutrz gazety — znaleziono w składach kupców — spekulantów".

Przewodniczący Tymczasowego Rewolucyjnego Rządu Południowego Wietnamu, Huynh Tan Phat, w wywiadzie udzielonym kilka godzin po rozpoczęciu operacji konfiskaty nielegalnych nadwyżek, podkreślił sabotażową działalność kapitalistów — kompradorów, którzy zdezorganizowali rynek, żeby posiać niesnaski i skierować przeciwko rządowi niezadowolenie mas, wywołane wysokimi cenami i brakiem żywności. Kiedy gwałtownie podskoczyły ceny na cukier, sól, papierosy i różne inne towary, zaczęły chodzić słuchy, iż przyczyna tych zjawisk kryje się w wysłaniu ogromnej ilości tych towarów do Hanoi. Parę dni przedtem rząd zorganizował sieć punktów rozdzielczych, w których sprzedawano ryż po 180 piastrów za kilogram, podczas gdy w sklepach prywatnych jego cena kształtowała się od 220 do 280 piastrów za kilogram.

### Biznes pana Ky

We wrześniu ub. roku rząd poinformował, iż łącznie ze scentralizowanym systemem państwowego rozdziału ryżu i benzyny, w najbliższych dniach w państwowych magazynach zacznie się sprzedawać po cenach „twardych" różne towary konsumpcyjne, a przede wszystkim produkty żywnościowe.

W niezależnej gazecie wieczornej „Tin Sang", której właścicielem i redaktorem jest Ngo Kong Duk, jeden z wiodących działaczy katolickich, który zawsze pozostawał w opozycji do Thieu, ukazał się spis dziewięciu największych rodzin kompradorskich, które zmonopolizowały handel towarami masowego spożycia. Wśród nich figurują w wykazie „król ryżu", „król kawy", „król tytoniowy", a także niejaki Ong Ticz, którzy otrzymał przezwisko „sajgońskiego tygrysa" z racji metod, jakich używa, żeby zachować swoje monopole w transporcie rzecznym i budowie statków. Głowy tych rodzin wymienione w gazecie „Tin Sang" uciekły już za granicę. Większość tych osób jest narodowości chińskiej, a najbardziej znaczący wśród nich jest niejaki Hoang Kim Ky, znany z zażyłych stosunków z rodziną Thieu i dowództwem wojsk amerykańskich. Jedną z najbardziej dochodowych pozycji tego monopolu był import drutów kolczastych, „towaru" niegdyś najczęściej spotykanego we wszystkich południowowietnamskich miastach i wsiach.

Tydzień przed akcją rządu w Sajgonie, z rynku zniknęły nieomal zupełnie papierosy miejscowej produkcji; cena na nie podskoczyła ze 160 do 400 piastrów za paczkę. W magazynach „króla tytoniowego" — Siu Fonga wykryto ogromne zapasy tych papierosów i już parę dni później sprzedawano je po 130 piastrów za paczkę. Jedną z dziewięciu grup wymienionych w gazecie „Tin Sang", była grupa Lam Ho, do której należał monopol na importowo-eksportowy handel osiemnastoma asortymentami towarów, włącznie z eksportem złomu metali. Ten ostatni rodzaj biznesu był pozycją szczególnie dochodową, jeśli wziąć pod uwagę tempo, z jakim amerykańskie czołgi i transportery były niszczone na polu walki.

### Majątek „króla ryżu"

po zbilansowaniu wartości ukrytych towarów, rozrzuconych po fabrykach i przedsiębiorstwach, oceniono na sumę 400 milionów dolarów! W kilku magazynach, należących do innego miejscowego kompradora, wykryto fantastyczne zapasy przeróżnych środków farmaceutycznych, które już nazajutrz przekazano do użytku sajgońskich aptek. Skonfiskowano także ponad 600 przeróżnych preparatów lekarskich.

Generał Ma Hi Tho, zastępca komendanta sajgońskiego komitetu wojskowo-administracyjnego, spotkał się w sali największego kina w Sajgonie z dużą grupą przedsiębiorców i biznesmenów. W swym wystąpieniu gen. Ma Hi Tho oparł się na opublikowanej 14-punktowej Deklaracji rządowej. Podkreślił on, iż bierze się pod uwagę różnice między „kapitalistami — kompradorami, którzy zawsze służyli zagranicznym interesom, a „narodowymi ludźmi interesu", którzy ponosili straty, będąc pod uciskiem kompradorów i zagranicznego kapitału. Tym ostatnim przypisuje się duże znaczenie w ekonomicznej rekonstrukcji kraju, jednakże główną rolę w jej dziedzinie będzie odgrywać państwo.

W deklaracji mówi się, że „państwo położy kres wszelkim aktom bezprawnego gromadzenia majątków oraz kontrabandzie, będzie surowo karać osoby, trudniące się tego rodzaju procederem i dezorganizujące rynek, wnoszące chaos w zakresie cen i zbytu towarów, siejące łgarstwa, działające na szkodę produkcji i dobrobytu narodu oraz zakłócające porządek ogólny i bezpieczeństwo.

Uderzenie w kompradorów spotkało się z szerokim poparciem całego społeczeństwa. Uporządkowanie polityki ekonomicznej, przyjęli z zadowoleniem nie tylko drobni przedsiębiorcy i kupcy, lecz także pracownicy naukowo-techniczni. W tydzień po opublikowaniu Deklaracji, z 14 punktów, jeden z wiodących działaczy TRR RPW, w którego gestii leży badanie opinii publicznej, w odpowiedzi na pytanie, jak przyjęto wszystkie te decyzje i programowe oświadczenia rządu, powiedział: „Jeśli pominąć niewielką grupę ludzi, którzy nas nienawidzą i zawsze będą się sprzeciwiać wszystkiemu, czego byśmy nie robili, przyjęto je bardzo dobrze".

W Wietnamie mówi się, że nie czołgi i rakiety wyzwoliły Sajgon. Reżim Thieu runął rozsadzony od wewnątrz siłami rewolucji. Jeśli te siły były tak efektywne w czasie wojny, to nie ulega wątpliwości, iż będą one równie efektywne w okresie pokoju.

JERZY CZECH

# ○ NIE SPEŁNIONA MISJA
# ○ ÓSMA RUNDA ROKOWAŃ

Ostatniego dnia minionego tygodnia PAP doniosła, że trwający już 23 dni **kolejny kryzys rządowy we Włoszech najprawdopodobniej nie będzie szybko rozwiązany.** Desygnowany na premiera czołowy działacz chadecji — Aldo Moro nie wypełnił swej misji i zaproponował skonstruowanie rządu jednopartyjnego, składającego się wyłącznie z przedstawicieli partii chrześcijańsko-demokratycznej. Byłby to rząd mniejszościowy, nie mający szans dłuższego przetrwania. Dlatego też kierownictwo partii na takie rozwiązanie kryzysu nie wyraziło zgody. Raz jeszcze Aldo Moro miał więc podjąć dyskusję z kierownictwem Włoskiej Partii Socjalistycznej, która — przypomnijmy — popierała poprzedni gabinet. Późniejsze jednak wycofanie przez nią poparcia stało się bezpośrednią przyczyną dymisji.

**Włochy — pod względem niestabilności rządów — biją swoisty rekord.** W okresie powojennym więcej było gabinetów niż upłynęło lat. Inaczej mówiąc — średnio częściej niż co rok wybuchał kryzys. Za każdym razem trzon rządu stanowili przedstawiciele chadecji — czasem tworząc koalicję centroprawicową, częściej, zwłaszcza ostatnio — centrolewicową. Dobierano więc partnerów w zależności od sytuacji, kierując się oczywiście zapewnieniem większości w parlamencie. **Brak jednak śmielszych rozstrzygnięć szybko prowadził do utraty poparcia i nowych rezygnacji.**

Fakt tak częstych zmian pogłębia społeczno-gospodarcze kłopoty kraju. Coraz więcej Włochów za stan gospodarki zasadnie obciąża winą partię chadecką. Spadek jej popularności unaocznił referendum sprzed półtora roku na temat ustawy rozwodowej. Większość wypowiadających się nie podzieliła stanowiska chadecji w tej sprawie.

Jaką zatem Włochy mają altenatywę?

Przypomnijmy, że **w 1944 roku Włoska Partia Komunistyczna zajmowała kluczową pozycję w rządzie, a następnie komuniści wchodzili w skład kolejnych gabinetów.** Tak było do 1947 roku, kiedy to pod wpływem Waszyngtonu cała lewica usunięta została z rządu. **Od tamtych lat polityczna pozycja Włoskiej Partii Komunistycznej wzrosła niepomiernie.** Liczy ona ponad 1,6 mln członków (dane sprzed roku) i ma szerokie wpływy w społeczeństwie. Bez niej nie może liczyć na dłuższą egzystencję żaden z rządów. Zrozumiałe, że warunkiem powrotu do koalicji musiałby być program rządowy, uwzględniający postulaty komunistów. Taka koalicja mogłaby obejmować szeroki front demokratyczny — aż do postępowej części chadecji, a jej najważniejszym zadaniem byłoby stworzenie szans rozwiązania palących problemów kraju. Chodzi tu o wyprowadzenie gospodarki z następstw kryzysów ekonomicznego i społecznego, zapewnienie rozwoju wszystkich dziedzin przemysłu i zmianę polityki rolnej.

Oczywiście — trudno przewidywać, kiedy może uformować się taka koalicja rządowa, **obserwatorzy życia Włoch są jednak zdania, że stać się to musi.** Dlatego nie spoglądajmy na informacje z Rzymu o kryzysach rządowych, jak na coś, do czego zdążyliśmy się już przyzwyczaić. Sygnalizują one przecież głębsze wewnętrzne procesy.

Przejdźmy teraz do drugiego tematu przeglądu aktualiów: **wznowienia rokowań wiedeńskich 19 państw,** które, jak wiadomo, toczą się w sprawie redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej. Rozpoczęta jest już ósma runda rokowań.

Przedstawiciel Polski dokonując analizy dotychczasowych negocjacji podkreślił **szczególne znaczenie podjęcia przez 11 bezpośrednich uczestników rokowań** (pozostali są na statusie obserwatora) **wzajemnych zobowiązań,** przeprowadzenia redukcji na zasadach równości i objęcia nią wszystkich rodzajów sił zbrojnych i uzbrojenia. Praktycznie oznacza to, że każde z tych 11 państw określić powinno siły zbrojne i uzbrojenie, które zamierza redukować oraz podać terminy i formy redukcji tak, aby wszyscy uczestnicy rokowań wiedzieli, jakie są to zobowiązania.

Cztery kraje socjalistyczne w listopadzie 1973 roku przedłożyły odpowiedni projekt; uzupełniony niektórymi postulatami zachodnimi, zachowuje swoją aktualność.

Niedawno na tym miejscu wykazywaliśmy, na czym polegają podstawowe rozbieżności w stanowisku krajów wschodnich i zachodnich i sygnalizowaliśmy, że Zachód wyraził gotowość włączenia do redukcji części amerykańskiej taktycznej broni nuklearnej.

Odnosząc się do tej propozycji przedstawiciel Polski przypomniał, że **kraje socjalistyczne od początku opowiadają się za obniżeniem wszystkich rodzajów sił zbrojnych, a więc i broni nuklearnej.** Możliwości wykorzystania zgłoszonego przez państwa zachodnie uzupełnienia są jednak ograniczone faktem, że jego przyjęcie projektodawcy wiążą z akceptacją zachodniego schematu rozbrojeniowego. Zaprezentowane przez państwa NATO propozycje nie przynoszą więc oczekiwanego postępu.

Podkreślamy to dlatego, że przed dwoma tygodniami przewidywaliśmy, iż nowa runda rokowań w Wiedniu rozpocznie się od omówienia propozycji zachodnich.

Komentatorzy zastanawiają się, **czy ostatnie rozmowy H. Kissingera w Moskwie, zapowiadające postęp w rokowaniach SALT II, nie wpłyną również na postęp w rokowaniach wiedeńskich,** które dotychczas napotykały wiele trudności.

W. SŁAWSKI

## SPORT

# POT I LAURY

A więc stało się. Do tej pory mogliśmy tylko mówić o tym, że rok bieżący jest rokiem olimpijskim. Teraz Olimpiada — choć tylko ta zimowa — stała się faktem. Rozpoczął się bój o pierwsze olimpijskie medale i dla tych którzy o nie walczą nic już się nie zmieni. Tylko jeszcze szczęście może im dopisać. Okres przygotowań do walki albo wykorzystali i wtedy nie ma potrzeby liczenia na szczęście, albo go zmarnowali i wtedy...

Kiedy będziemy siedzieli przed telewizorami i oglądali zmagania narciarzy, łyżwiarzy, hokeistów nie zapominajmy, proszę, o wielkiej pracy, jaką wykonali nim stanęli na lodzie czy śniegu. Od tej pracy wiele teraz zależy. A był to ogromny wysiłek. Holenderka, mistrzyni jazdy figurowej na lodzie, ćwiczyła do momentu startu, po 6 godzin dziennie. Mistrz świata w biathlonie, Fin Ikola przebiegł na nartach 2 tys. km i wystrzelał 5 tys. naboi. Czescy narciarze przemierzali dziennie po 50 km. Można tak byłoby jeszcze wyliczać dalej, ale przecież nie w wyliczaniu rzecz cała. Nawet jeśli komuś z nich nie uda się wywalczyć najlepszego miejsca, to pozostanie poczucie dobrze spełnionego obowiązku i świadomość, że uległ lepszemu. Mała to pociecha, ale zawsze to więcej niż świadomość, że szansa „przeszła koło nosa" tylko przez własne niedbalstwo, brak dyscypliny i lekkomyślność.

Wspominam o tym nie bez powodu. Oto bowiem z relacji katowickiego „Sportu" wynika, że w Cetniewie, gdzie do letniej Olimpiady przygotowują się polscy bokserzy, w pierwszym dniu zgrupowania, a więc 26 stycznia 1976 roku, zamiast 40 zawodników było tylko... 9. Wprawdzie reporter „Sportu" dokładnie wyliczył, że wraz z szóstką pięściarzy, którzy przygotowują się pod kierunkiem trenera Zenona Stefaniuka na Bielanach w Warszawie, w sumie było ich 15, ale to w niczym nie zmienia sytuacji.

Był czas, kiedy polski boks odnosił triumfy na międzynarodowych ringach. Czas ten minął. W sporcie bywa różnie. Raz się zwycięża, innym razem jest się zwyciężonym. W tym cały urok sportu, w tym warunek jego rozwoju. Ale, jeśli ulega się silniejszemu przeciwnikowi, to mniejsza gorycz porażki i więcej nadziei na rewanż. Jeśli się ulega, bo nie jest się do walki przygotowanym, to wstyd tylko. A w naszym boksie sytuacja kryzysowa bierze się nie tylko z tego, że spotykamy na ringu lepszych bokserów, ale i z tego, że do walki źle się przygotowujemy.

Mamy sporo dobrych trenerów. Są oni zdania, że cała kadra powinna jednakowo przygotowywać się do Igrzysk Olimpijskich. I jest w tym racja. Ale PZB jest innego zdania. Wbrew opinii tych trenerów działacze PZB wyłączyli z kadry 6 bokserów i skierowali ich na turniej w Belgradzie, choć zdaniem trenerów nie są oni do niego przygotowani, a zaszkodzi to również w przygotowaniach do Olimpiady. Nie wszyscy bokserzy trenują jednakowo: jedni trenują na zgrupowaniu a inni mają indywidualne plany przygotowań. Byłby w tym chyba sens, gdybyśmy mieli wybitne talenty bokserskie, wymagające takiego właśnie przygotowania. Ale przecież ostatnie bokserskie spotkania dowodzą czegoś zupełnie innego.

Trudno się więc dziwić, że w tej sytuacji do Cetniewa kadra nie stawiła się w komplecie, tylko dojeżdża indywidualnie, wedle własnej marszruty, zatrzymując się po drodze lub w ogóle opóźniając wyjazd. Zresztą każdy ze spóźnialskich ma na swoje usprawiedliwienie mnóstwo argumentów. A to temu żona zachorowała, tamtemu — dziecko, innemu jeszcze wypadły egzaminy i musiał nadrabiać, co kiedyś zaniedbał, i tak dalej. Usprawiedliwień można wymyślić sporo, tylko po co? Albo się ktoś decyduje być bokserem, albo nie. Starzy ludzie twierdzą, że „dla chcącego nie ma nic trudnego". Widać nasi bokserzy chcą przede wszystkim unikać pracy przed walką. Gdyby to się jeszcze udawało unikać walki i zdobywać medale! Ale to zupełnie niemożliwe.

Do Cetniewa na zgrupowanie nie przyjechali na czas nie tylko bokserzy, nie przyjechało trzech trenerów: Włodzimierz Biel, Henryk Niedźwiecki, Antoni Zygmunt, nie przyjechał też lekarz PZB. W ubiegłym roku na obóz szkoleniowy przed meczem z NRD stawił się na czas tylko j e d e n zawodnik. Nie ma się więc czemu dziwić, że w NRD nasi bokserzy wypadli dużo gorzej niż źle.

Trener Wiktor Nowak twierdzi, że w przygotowaniach do Olimpiady liczy się każdy dzień, każda niemal godzina. I ja mu wierzę, bo f a k t y mówią o tym, że tuzy międzynarodowego sportu zdobywają laury lejąc przedtem morze potu. I wbrew temu, co by się sądziło, ten wysiłek włożony w przygotowanie widać później na bieżni, widać na ringu, na boisku. Kiedyś sportowa rywalizacja rozgrywała się na oczach kilku lub kilkunastu tysięcy widzów. Dziś rozgrywa się na oczach milionów widzów. I dokładnie widać, jak bokser „pływa" i pragnie „przytulić się" do rywala, jak biegacz stopniowo odstaje od czołówki, bo mu sił braknie, jaki piłkarz zamiast biegać, chodzi po boisku, bo mu zabrakło kondycji, bo ten, ów i tamten zaniedbywali treningi, bo uwierzyli doradcom z bożej łaski, że wystarczy talent, smykałka, a praca to tylko wymysły trenerów. Niestety, nie ma laurów bez uprzednio przelanego potu. I jeśli polscy bokserzy chcą przywieźć z Montrealu olimpijskie medale, to powinni solidnie wziąć się do pracy. Nie tylko oni.

BOGDA MADEJ

## OBYCZAJE

**Upał wyciskał smród z rynsztoków, ten wąsaty twarz miał czerwoną, spoconą; przystawiał się nachalnie, świdrował nabuzowanymi oczkami i kusił. Weszli do bramy, gdzie cuchnęło pomyjami, ale było chłodniej i bez obciachu. Wąsaty rozwarł dłoń, na której leżało kilka świecących grudek i powiedział, że za to brudas według starej emisji. Długi był malarzem — sztukatorem, miał dwa patyki miesięcznie, w kieszeni tylko czterysta sześćdziesiąt, ale wąsaty się zgodził.**

# RYSZARD BINKOWSKI
# napad

### 1.

Wtedy Długi pomyślał, że jak łaził z Luśką po Konstantynowie, to często przechodzili koło zakładu złotniczego przy 19 Stycznia; można skoczyć, nikt nie zwęszy i zrobi się ładny sygnet. Pojechał, ale zastał zakład zamknięty. Stał strapiony w korytarzu, kiedy otworzyły się drzwi obok, w których pojawiła się siedemdziesięciotrzyletnia Maria K.

— **Pan z czym?**

Zawahał się, czy powiedzieć, ale przyjrzawszy się staruszce, nabrał pewności, że można gadać.

— **Mam trochę świecącego, chciałem zrobić sygnet.**

— **Mogłabym kupić.**

— **Dobra, ale chyba innym razem** — powiedział. — **Kiedy będzie złotnik?**

— **Jutro.**

— **To on zważy i wyceni.**

Złotnik Jerzy W. zbadał złoto, odważył i powiedział, że jest sześć gramów, ale zanieczyszczone, to najwyżej po dwieście pięćdziesiąt gram.

Babcia Maria K. kiwnęła głową, że w porządku, ale ona może dać tylko tysiąc dwieście, na co Długi się zgodził, bo miał z tego siedemset czterdzieści na czysto. Babcia postawiła go w drzwiach mieszkania i przyniosła z pokoju pieniądze. Długi odjechał do Łodzi. Już w tramwaju zaczął główkować, że starucha, która tak ostrożnie stawia go w drzwiach, musi mieć w chałupie trochę więcej błyskotek. Kto wie, ile, bo jeśli często podrywa złotnikowi klientów, to musiała zorganizować niezły arsenał tego, co się świeci. Kiedy dojechał do Łodzi, nędzny zawód malarza-sztukatora obrzydł mu do reszty. W marzeniach zlazł z drabiny, wskoczył w garniturek z Bytomia i kręcił się z Luśką na deskach w „Malinowej".

### 2.

Średni podpierał ścianę bramy i patrzył z żalem na odchodzące z miasta lato. Smutno było Średniemu. Miał siedemnaście lat i dyscyplinarne zwolnienie ze szkoły, bo nader często odwalał lekcje w plenerze. Jak go wysiudali, zaczepił się przy budowie wesołego miasteczka na Zdrowiu, urwał trochę szmalu i skoczył na Wybrzeże. Forsa się rozleciała, straszne puchy, a w domu zgryzota, bo ojciec zrobił odlot osiem lat temu i matka haruje, żeby wyżywić Średniego i jego młodszego, czternastoletniego brata.

I wówczas do stojącego w bramie Średniego podszedł kumpel, prawie równolatek, Krótki, który chodził do szkoły metalowej.

— **Masz chęć na grosz jaki taki?** — spytał obcesowo Krótki.

— **Komu tu jest letko? Pewnie, że mam.**

— **Znam jednego Długiego. Zrobił gryplan, wczoraj w kawiarni wszystko mi rozwinął. Są staruchy ze złotem, tacy, co kupują taniej, a sprzedają z zyskiem. Jest dwóch chętnych na wizytę, brakuje trzeciego. Jak?**

— **Ja to muszę w mózgu przerobić** — powiedział Średni. — **Mnie to się rai, ale trochę drygam.**

Nazajutrz Krótki zawiózł Średniego na kwaterę do Długiego.

— **To jest koleś, co się na to pisze** — powiedział Krótki.

— **Ja się piszę, ale na ludzi mam boja.**

— **Baniak to ty masz zachlapany** — powiedział. — **Jest mecz, Polska tnie się z Holandią, patrzą na to starcy i dzieci, na ulicach puchy.**

Omówiono gryplan. Krótki z Długim biorą w torby łachy do przebrania, rękawiczki i pończochy, Średni przerzuci tylko kurtkę na lewo i wsadzi coś na łeb, bo włosek ma jak albinos. Była jeszcze szmata i sznurek na wypadek, gdyby staruchy rzucali się albo pokrzykiwali.

Umówili się na 16,30, ale Średniemu pokiękał się czas, pół godziny nawalił i tamci już myśleli, że zrobił odwrót. Pojechali do Konstantynowa w różnych wagonach, wysiedli i zakotwiczyli w parku, aby zrobić ostatnie przygotowania do skoku. Kłócili się, kto ma iść na rozpoznanie. Wypadło na Krótkiego.

W przerwie meczu Maria i Józef K. cieszyli się, bo to był ten mecz z Holandią z dziesiątego września. Nagle do drzwi ktoś zapukał. Wszedł chłopak, szczupły, o drobnej twarzy i rozbieganych niebieskich oczach.

— **Przepraszam** — powiedział — **czy mógłbym skorzystać z telefonu? Chciałbym zadzwonić do matki w Aleksandrowie.**

Józef K. już gotów był prosić gościa dalej, ale małżonka nie chciała, żeby chłopak właził do pokoju, toteż powiedziała, że telefon nieczynny.

— **A wódkę można by tu gdzieś kupić?** — spytał chłopak.

— **Nie u nas!** — powiedziała Maria K. — **Wódkę można kupić w gospodzie, tam też jest telefon.**

Wyprowadziła gościa za drzwi, wskazała, gdzie iść. Chłopak podziękował i odszedł. Ale nie w kierunku gospody.

### 3.

Spotkali się na skraju parku.

— **Sami starzy** — powiedział Krótki.

— **A złotnik i sąsiedzi?**

— **Ciemno.**

— **No to idziemy!**

Długi znał teren. Przesmykiem między domami dostali się na podwórze. Wskoczyli w przywiezione łachy, założyli pończochy i rękawiczki. Średni przewrócił kurtkę i wsadził na łeb czepek kąpielowy, żeby zakryć świński blond. Zaczęła się licytacja, kto pierwszy, bo Średni nie chciał. Krótki zaś miał zamiar pryskać do Łodzi. Długi strasznie się wnerwił, że łamią umowę.

— **Ja wejdę** — powiedział. — **Średni załatwia starą, ja dziadka. Tylko, żeby mi żaden słówka nie pisnął. Żadnych imion ani innych odzywek.**

Drzwi nie chciały puścić, ale Długi coś tam podważył, wszedł do korytarza i zapukał. Osiemdziesięciodwuletni Józef K. zdziwił się, bo pamiętał, że zamknął od wewnątrz drzwi do korytarza, zarówno te od podwórza, jak i od ulicy. Sądząc jednak, że to syn, który często starych odwiedzał, otworzył. Ujrzał łeb owinięty pończochą, ale nie tracąc zimnej krwi zdążył kopnąć napastnika, który chwycił go za ręce i powalił na podłogę, po czym zakrył mu dłonią usta. Maria K. usłyszawszy łoskot i chrapliwy głos w kuchni, podeszła do drzwi, ale wtedy wpadł na nią Średni i zakrył szmatą usta. Widząc, że pochylony nad mężem Długi trzyma w ręku kuchenny nóż, osunęła się na kolana i wychrypiała przez szmatę:

— **Bierzcie pieniądze, ale nie krzywdźcie męża!**

Średni puścił kobietę, a Długi z Krótkim posadzili dziadka na tapczanie. Maria K. podeszła do biblioteczki i zdjęła z półki książkę w plastykowej okładce. Zza okładki i spomiędzy kartek wyjęła dwa tysiące sto pięćdziesiąt złotych. Średni wziął pieniądze, zgasił światło w pokoju i wprowadził babcię do kuchni. Odliczył trzysta złotych i położył na stole.

— **To, babciu, na chleb.**

Krótki sięgnął po forsę.

— **Zostaw, to na chleb!**

— **Zostawcie tylko sto** — powiedziała Maria K. i Krótki zgarnął dwie setki.

— **Pierścionki!** — warknął Długi, przytrzymując szarpiącego się dziadka.

— **Dzieci, ja wam dam** — szepnęła kobieta.

Podeszła do kredensu kuchennego. W jednej filiżance nie było pierścionka i obrączki.

— **Były trzy** — powiedziała — **a jest jeden.**

Położyła na stole wyjęty z drugiej filiżanki męski złoty sygnet z czerwonym oczkiem.

Najpierw wyszedł Średni, po nim Długi. Krótki przed wyjściem spytał:

— **Babcia jest wierząca?**

— **Tak, synku.**

— **To niech babcia przysięgnie, że nie zawiadomi milicji.**

Maria K. uklękła i przysięgła.

— **A jak byście zapomnieli** — powiedział wychodząc Krótki — **to z wami tak: przejechał palcem po szyi.**

### 4.

Przebrali się za domem i boczną, polną drogą ruszyli w stronę Lutomierska do przystanku tramwajowego. W drodze Krótki bąknął nieśmiało, że zgubił rękawiczkę. Długi szarpnął go za klapy.

— **Rękawiczkę?** — warknął. — **A gdzie jest twoja torba, baranie?**

— **Zaprószyłem. Ale ja wrócę...**

— **Żeby cię zwinęli, co?**

Wskoczyli do różnych wagonów i odjechali do Łodzi. Na Obrońców Stalingradu wysiedli i w bramie podzielili się dolą. Średni i Długi po siedemset, Krótki sześćset pięćdziesiąt. Ponadto Średni wziął pierścionek.

Długi z Krótkim weszli do cukierni i do sklepu spożywczego, zjedli coś słodkiego, napili się „Pepsi-Coli", natomiast Średni podłapał kumpli, Majdę i Kozika oraz jedną Baśkę i wtargnęli na alpagę do „Astry". Podczas picia milicjant wpadł na Średniego, bo on raz już tę kawiarnię obrobił i był na oku, ale skończyło się na strachu, ponieważ Średni wcześniej dał pięćset Baśce, która regulowała rachunki.

Tymczasem staruszkowie przez godzinę siedzieli w szoku. Wreszcie zadzwonili do syna, ale telefon milczał, tzn. nikt z tamtej strony nie podnosił słuchawki. Po upływie dwóch godzin babcia zobaczyła przez okno sąsiadkę, Martę M., którą zaprosiła do siebie i opowiedziała, co zaszło.

Zabrała tę szmatę od „duszenia" i pojechała taksówką do syna. Synowa zawiadomiła o napadzie posterunek MO w Konstantynowie.

### 5.

Nazajutrz, w tym czasie, kiedy Średni sprzedawał paserowi na Placu Niepodległości sygnet za dwa tysiące, a następnie zamieniał forsę na bony w Pewexie na Jaracza i nabywał za dziewięć dolarów rajfle, do Konstantynowa jechał tramwajem Krótki ze swoim młodszym bratem. Nie wtajemniczając brata w szczegóły, pokazał mu przejście między domami na ul. 19 Stycznia i polecił sprawdzić, czy w trawie nie leżą jakieś rzeczy.

Około godziny 11,00 Marta M. widziała w pobliżu posesji podejrzanie zachowującego się chłopaka, który zaraz odszedł i wsiadł do tramwaju.

— **Spodni też nie było?** — nie wytrzymał Krótki.

Młodszy pokręcił przecząco głową.

Chłopak nie znalazł spodni, ale milicja znalazła u Krótkiego resztę forsy, u Średniego resztę dolców i kwit z Pewexu, a u Długiego pończochy. Stało się to z tej przyczyny, że z kolei inni milicjanci o godzinie 5,40 rano znaleźli za domem małżeństwa K. szaroniebieską torbę z teksasu, a w niej spodnie męskie z czarnego welwetu, u dołu obszyte tasiemką z teksasu oraz wyrwaną z zeszytu kartkę w kratkę, na której znajdował się plan lekcji na poniedziałek, wtorek i środę.

Służba kryminalna rozpoczęła żmudną, ale prowadzoną w szybkim tempie pracę dochodzeniową. Ppor Stanisław P. z wydziału służby kryminalnej nawiązał kontakt z Kuratorium Okręgu Szkolnego. Ustalono, że przedmioty wymienione w planie zajęć wykładane są w zasadniczych szkołach zawodowych i technikach i obejmują program najwyższych klas.

Przeprowadzone w ośmiu łódzkich szkołach badania dały wyniki negatywne. Korzystając z pomocy nauczycieli typowano dalsze szkoły i drogą eliminacji dotarto do kolejnej, dwudziestej trzeciej szkoły, a w niej do klasy trzeciej. Dyskretnie wypożyczono teczki uczniów, aby porównać charakter pisma z pismem umieszczonym na kartce.

Spośród trzech najbardziej zbliżonych do pisma z kartki, wyciągnięto identyczne. Było to pismo Krótkiego.

## DĄBROWSKA

W serii „Biblioteka Polonistyki" ukazała się publikacja Zdzisława Libery pt. „Maria Dąbrowska". Jest to popularne, ale niezwykle potrzebne i ciekawie opracowane wydawnictwo na temat wybitnej pisarki. Oprócz bowiem szkiców biograficznych i historyczno-literackich omawiających życie Dąbrowskiej i jej działalność pisarską, mamy tu także małą antologię autodefinicji Dąbrowskiej. Jest więc i wywiad z pisarką z roku 1925, jest przedmowa do „Nocy i dni", wyznania na temat własnej twórczości, fragmenty „Dzienników"...

Zdzisław Libera zaprezentował także wybór publicystyki i krytyki literackiej Marii Dąbrowskiej — m.in. o Conradzie, o „Panu Tadeuszu", o pracy twórczej.

Ten interesująco opracowany tom kończy antologia publikacji na temat pisarstwa Dąbrowskiej, takich autorów jak m.in. Ewy Korzeniewskiej, Karola Irzykowskiego, Kazimierza Wyki, Juliana Przybosia, Jarosława Iwaszkiewicza, Włodzimierza Maciąga.

Zdzisław Libera — „Maria Dąbrowska", Wyd. Szkolne i Pedagogiczne, cena 46 zł.

## KRÓLIK I OCEANY

Dwa wydawnictwa: Literackie i PAX podjęły inicjatywę „Dzieł wybranych" Melchiora Wańkowicza. Ukazała się już w tej serii „Opierzona rewolucja", bardzo głośna w okresie międzywojennym, ukazała się jeszcze głośniejsza — „Na trępach Smętka".

Aktualnie ukazują się, powojenne już, opowieści podróżnicze Wańkowicza „W ślady Kolumba". Jest to znakomite „czytadło", choć oczywiście odbiegają te książki od utworów, którymi pisarz zdobył sobie czytelnika. Nic to zresztą dziwnego — nawet John Steinbeck, wyruszając samochodem przez amerykański kontynent, przywiózł z tej podróży tylko opowieść podróżniczą, bez drapieżności „Gron gniewu". Ale historię podróży Wańkowicza po Ameryce czyta się z zainteresowaniem i znajdzie ona także wdzięcznych czytelników.

Melchior Wańkowicz — „W ślady Kolumba — Królik i oceany", Wyd. Literackie, cena 85 zł.

## ROCZNIK LITERACKI

Co roku Państwowy Instytut Wydawniczy ogłasza kolejne tomy „Rocznika Literackiego". Celem tej periodycznej publikacji jest podsumowanie dorobku literackiego i najważniejszych wydarzeń kulturalnych za dany rok. Rocznik ma stare tradycje — po raz pierwszy zaczął się ukazywać w latach 1933—1934 pod redakcją Z. Szweykowskiego i potem w latach 1934—1939 pod redakcją Z. Szmydtowej.

W roku 1955 wznowiono w PIW tę cenną publikację. Każdy tom zawiera bibliografię literatury pięknej polskiej i przekładowej, krytyki literackiej i wszelkich publikacji związanych z literaturą i dziejami kultury, bibliografię poloników zagranicznych oraz obszerne artykuły omawiające książki, które ukazały się w danym roku w poszczególnych działach twórczości literackiej i naukowej.

Ze względu na swój syntetyczny charakter i bogaty materiał bibliograficzny „Rocznik" stanowi pozycję szczególnie cenną dla bibliotekarzy, nauczycieli i wszystkich, którzy interesują się problematyką kulturalną i literacką. Oczywiście takie syntetyczne i źródłowe dzieło wymaga ogromnego nakładu pracy, która trwa dość długo. Stąd też u progu roku 1976 ukazał się właśnie „Rocznik Literacki 1973". Nie o tempo tu wszakże chodzi, lecz o wartość dokumentacyjną publikacji.

„Rocznik Literacki — 1973", PIW, cena 150 zł.

## SŁONECZNE ŻYCIE

Wspomnienia Jadwigi Toeplitz-Mrozowskiej są dla czytelnika pasjonującą przygodą. Świetna polska aktorka u szczytu sławy, w rozkwicie swego talentu... porzuca nagle scenę odnajdując sens i cel życia w podróżach po świecie.

„Słoneczne życie" powstało w osiemdziesiątym pierwszym roku życia autorki, jest jej pierwszą książką polską. I jest to książka znakomita. Zarówno jako szczery osobisty pamiętnik i jako suma spostrzeżeń naukowych i obyczajowych.

Uboga polska literatura podróżniczo-pamiętnikarska, zwłaszcza z terenów azjatyckich, wzbogacona została prawdziwym klejnotem. Podziwiać także trzeba orientację autorki w sprawach ogólnych i politycznych, bowiem i w tym względzie książka Mrozowskiej daje pewien klucz do rozumienia odrębnej psychiki narodów azjatyckich.

Podróże były pasją i celem życia Mrozowskiej, nic więc dziwnego, że we wstępie zastrzega się, iż nie znajdzie tu czytelnik przyczynku do historii teatru w Polsce. Mimo to jednak udało się autorce wywołać owe kołaczące się w pamięci wizje lat teatralnych w Krakowie i Lwowie końca XIX wieku.

Jadwiga Toeplitz-Mrozowska — „Słoneczne życie", Wyd. Literackie, cena 110 zł.

## PÓŹNA TWÓRCZOŚĆ

Mówi się czasem, że twórczość jest przywilejem młodych. Jak każde obiegowe twierdzenie ma i ten pogląd żywot dość mocno utrwalony. A przecież bywa różnie — twórczość artystyczna wymyka się szablonom.

Mieczysław Wallis napisał więc interesującą książkę pt. „Późna twórczość wielkich artystów", rozpoczynając swoją prezentację od Michała Anioła, na Staffie i Beethovenie kończąc. Autor polemizuje w swej książce z Hipolitem Taine, który utrzymywał, że życie każdego artysty dzieli się na dwie części. W pierwszej artysta studiuje rzeczywistość, uczy się, szuka i tworzy; w drugiej natomiast już nie tworzy, lecz jedynie powtarza samego siebie. Pierwsza epoka jest — według Taine'a — epoką szczerego uczucia, druga — epoka maniery i upadku.

Szkice Mieczysława Wallisa przekonują, jak ryzykowne są podobne szablonowe podziały. Ogromne dzieła Michała Anioła powstały po sześćdziesiątym roku życia. Bliski siedemdziesiątki El Greco tworzył swoje bodajże najlepsze obrazy. Podobnie Frans Hals, który mając lat osiemdziesiąt malował obrazy uznane potem zgodnie przez historyków sztuki za „najwyższe i najpiękniejsze osiągnięcia".

Podobnie rzecz wygląda i na terenie twórczości literackiej. Starość Goethego przyniosła nowy, wspaniały rozkwit jego twórczości lirycznej. Także Leopold Staff ostatnimi tomami otwierał zupełnie nowy rozdział swojej twórczości. A zbliżał się wówczas do osiemdziesiątki.

Młodość jest czymś przepięknym i nie ma powodu odmawiać jej uroków, ani pomniejszać osiągnięć — pisze Wallis. Chodzi jednak o to, aby oddać również sprawiedliwość starości. Chodzi o uświadomienie sobie niezwykłych wartości, jakie do pewnych dziedzin kultury światowej wnieśli ludzie w późnym wieku.

Mieczysław Wallis — „Późna twórczość wielkich artystów", PIW, cena 60 zł.

# ZDARZENIA i ZWIERZENIA

# EXLIBRISY

O exlibrisach pisałem w tym miejscu nie raz, bo też i okazji było wiele. W Łodzi znajdują się w zbiorach prywatnych wspaniałe kolekcje znaków książkowych, łodzianie piszą książki o exlibrisach (nawet dla zagranicznych oficyn), zdobywają medale na światowych wystawach...

Dość wspomnieć świetną książkę **Cecylii i Janusza Duninów** „Exlibrisy — książki i ludzie" czy „biały kruk" **Karola Hillera** — tekę exlibrisów z roku 1927, podobną tekę exlibrisów **Teofila Jóźwiaka** z lat sześćdziesiątych...

Stosunkowo niedawno eksponowano w podziemiach pałacyku przy ulicy Wólczańskiej arcyciekawą wystawę „Exlibris w Niderlandach". Za tym enigmatycznym hasłem kryła się piękna tematyczna kolekcja „erotica" **Jerzego Weinberga**. Wystawa przeszła prawie bez echa, a szkoda, bo miała szanse stać się wydarzeniem.

W tym samym czasie mieliśmy możność obejrzenia w Łodzi ekspozycji Międzynarodowego Biennale Exlibrisu Współczesnego, prezentowaną wcześniej w Malborku. Rzecz ciekawa, mimo istnienia w naszym mieście stosunkowo nielicznego środowiska miłośników książki, Łódź — zarówno w ruchu bibliofilskim jak i wśród zbieraczy exlibrisów znana jest z wielu interesujących dokonań, którym patronuje tradycyjnie Łódzkie Towarzystwo Przyjaciół Książki.

Dodajmy jeszcze, że na Biennale Exlibrisu w Malborku triumfy święcił łódzki artysta, **Zbigniew Janeczek**, który przedstawił tam piękną kolekcję swoich znaków. Katalog z Malborka już dziś osiąga zawrotne ceny na bibliofilskiej giełdzie.

Myślę, że podobną karierę zrobi wydana niedawno teka **„Exlibrisy łodzian"**. Pomysł tej teki rzucony przed dwoma laty przez członków ŁTPK sfinalizowany został wyłącznie ich pracą i staraniami, bez żadnych dotacji. „Exlibrisy łodzian" w pierwszej tece (miejmy nadzieję, że będą następne), zawierają znaki książkowe bibliofilów i kolekcjonerów, wyłącznie członków Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki. Jest to nie tylko przegląd artystycznego kunsztu artystów, twórców małej grafiki, takich jak m.in. **Henryka Płóciennika, Leszka Rózgi, Konstantego Sopoćko, Zbigniewa Janeczka, Hanny Stańskiej, Teofila Jóźwiaka.** Jest to również przegląd środowiska łódzkich miłośników książki. Część znaków książkowych świadczy bowiem o upodobaniach, księgozbiorach, zainteresowaniach kolekcjonerskich.

Na kartach teki znajdujemy exlibrisy takich bibliofilów i kolekcjonerów jak m.in. **Cecylii i Janusza Duninów, Jerzego Dunin-Borkowskiego Romy i Anatola Gupieńców, Romana Kaczmarka, Andrzeja Kempy, Zdzisława Konickiego, Michała Kuny, Grzegorza Matuszaka** (który całość tego wydawnictwa opracował), **Wacława Pryta, Jadwigi Siniarskiej-Czaplickiej** czy **Jerzego Weinberga.**

Środowisko kolekcjonerów jest w Łodzi niezbyt liczne, ale stan posiadania jest niezwykle bogaty. Wiadomo na przykład, że **Andrzej Kempa** posiada kolekcję liczącą około 7 tysięcy exlibrisów, a w tym ogromny zbiór radzieckich znaków książkowych.

Parę tysięcy liczy także zbiór **Cecylii i Janusza Duninów**, którzy mają m.in. exlibrisy bibliotek polskich i obcych. W łódzkich kolekcjach znajdują się także takie rarytasy, jak np. zbiór exlibrisów **Bruno Schulza (Henryk Maszewski)**, albo pełny zbiór exlibrisów **Józefa Gielniaka (Władysław Śmigielski).**

Exlibrisy biblioteki carskiej znajdują się w kolekcji **Grzegorza Matuszaka**, który posiada też parę tysięcy exlibrisów czeskich, węgierskich i radzieckich.

Na koniec — skoro mowa o radzieckich exlibrisach — warto raz jeszcze przypomnieć naszym czytelnikom, że za 67 zł mogą mieć piękną kolekcję 500 exlibrisów Kraju Rad. Tyle bowiem kosztuje wspaniały album moskiewskiego wydawnictwa **„Sowietskaja Rosija"**. Jest to prawdziwa perełka sztuki graficznej i poligraficznej, kosztuje grosze, a może stanowić ozdobę każdej biblioteki. Jeszcze tydzień temu widziałem parę egzemplarzy tego pięknego albumu w księgarni zagranicznej „Horyzont" przy ul. Piotrkowskiej.

Tak więc od Łodzi zawędrowaliśmy do Moskwy. Towarzyszył nam exlibris — znak książkowy, uniwersalne signum ludzi kochających książki.

**WIDOK**

# LEWYM OKIEM

# PROFILAKTYCZNIE

*„Z maleńkich kościółków, ukrytych za młodą, prężną zielenią dolin, rozbrzmiała wieczorna Ave Maria i skonała na jeziorze. Szczyty gór błyszczały odblaskiem zachodzącego słońca, a już pierwsze nocne cienie, łagodnie spływające na lasy i samotne chaty, przynaglały późnego wędrowca na Via Giudicaria do przyśpieszenia kroku. Pieszczota niewidzialnej dłoni marszczyła powierzchnię wody, której drobniutkie fale szemrząc cichutko omywały stopy prastarych wierzb, kłoniących nisko swe gałęzie".*

*Myślicie, że to egzaltowana pensjonarka usiłuje zarobić u pani polonistki na piątkę pięknym, a jakże banalnym „opisem przyrody"? Nie, to pierwsze zdania powieści historycznej, wydanej w roku 1909 pt. „Kochanka kardynała" przez dwudziestopięcioletniego dziennikarza włoskiego, niezmiernie ambitnego, a walczącego z chroniczną biedą i niedostatkiem. Dziennikarz nazywał się Benito Mussolini i w ćwierć wieku później stał na czele wielkiego państwa jako dyktator, wódz, przywódca, il Duce.*

*Przez wiele lat nikt o powieści nie pamiętał. Wydano ją ponownie dopiero w 1930 roku w wielu językach, także u nas, dyskontując nazwisko autora jako rękojmię wartości dzieła. Cóż, nie jest to wartość kruszcu, chociaż rzecz da się czytać. Niedawno na straganie pod halą widziałem tę książkę — sprzedawca cenił wysoko: 300 złotych, twierdził, że to „jedyna rzecz tego autora". Ale to nieścisłe. Mussolini próbował pisać (niezależnie od mnóstwa artykułów, polemik i drobiazgów dziennikarskich) także później, np. w 1932 roku w Warszawie wystawiono jego sztukę o Napoleonie („Sto dni" w Teatrze Narodowym), ostro zresztą skrytykowaną przez Boya.*

*„Szkoda, że moje wydawnictwo nie przyjęło wówczas „Michaela", bo może w ten sposób autor skierowałby swoją energię ku literaturze, a nie brał się za politykę". Są to słowa znanego wydawcy niemieckiego, Rudolfa Ullsteina, wypowiedziane w wiele lat po wojnie a dotyczące powieści „Michael", którą w początkach lat dwudziestych złożył z prośbą o druk nie kto inny, jak sam późniejszy demoniczny zły duch Europy: Joseph Goebbels. Fragmenty tej powieści znajdziecie w książce Manvella i Fränkla o kulawym ministrze. To są fragmenty przyprawiające o niestrawność. Najczystsza grafomania: „Pod moimi biodrami nie rży już ogier pełnej krwi, nie siedzę już na ławecie armaty. Chcę być mężczyzną! Otrzymać zdecydowany kształt. Osobowość! Droga do nowego Niemca!"*

*„Wiatr powiewa cicho nad wyżynami, muska niedbale łąki. Ciemne jodły w głębi... Światło słoneczne spoczywa na soczyście zielonych górach..."*

*A więc dwaj zapoznani literaci, powieściopisarze: Mussolini i Goebbels. Obaj egzaltują się słoneczkiem, błyskającym na szczytach gór, obaj traktują swe literackie posłannictwo jak najpoważniej i wiążą z nim największe ambicje. Zwłaszcza Goebbels uważał się za wybitnie utalentowanego pisarza i w listach do panienek, w których się kolejno kochał, dawał wyraz swemu przekonaniu o czekającej go artystycznej sławie.*

*Czymże wytłumaczyć ten fakt, że sukcesy literackie i artystyczne jawią się młodym ludziom jako najwyższa, najbardziej poświęceń godna i dająca największe osiągalne szczęście forma samorealizacji? Cóż za tajemniczy urok musi tkwić w — pożal się Boże — „sławie" pisarza i artysty, że nawet osiągnięcie szczytów władzy politycznej okazuje się wynikiem wejścia na drogę do nich — z konieczności, z braku powodzenia na tamtej, artystycznej dróżce, zastrzeżonej dla nielicznych wybrańców?*

*Może wydawca, pan Ullstein, ma rację — może rzeczywiście Goebbels poświęciłby się pisaniu marnych powieści, licząc że ta następna to będzie właśnie arcydzieło, gdyby przy pierwszej, przy swoim „Michaelu", spotkał się z jaką taką aprobatą? Może Mussoliniemu bardziej odpowiadałby niespokojny żywot dziennikarza, nobilitowanego przy tym sporadyczną twórczością literacką, gdyby w 1909 roku o jego „Kochance kardynała" napisano choć piątą część tych komplementów, jakimi obsypali tę powieść krytycy w roku 1930, chcąc się przypodobać wszechwładnemu dyktatorowi?*

*Przyjmujmy zatem życzliwie debiutantów, gdy zjawiają się z pierwszymi rękopisami. To nic, że rękopisy są złe. Może nie negliżując ich, unikniemy działalności znacznie gorszej, nieobliczalnej w skutkach?*

**ĆWIEK**

# PROPOZYCJE

# CICHĄ NOCĄ

**Ludzie skarżą się, że zanika w naszych czasach sztuka epistolografii, czyli pisania listów. Mam w tej sprawie trochę odmienne zdanie. W moim przekonaniu zmienił się styl i charaker listów. Samo pisanie kwitnie dość bujnie. Nie są to już jednak listy tak kwieciste, pełne zwrotów stylistycznych, ozdobników, do pisania których potrzebne były specjalne podręczniki i wzorce. Dziś pisuje się listy lakoniczne. „Kochani Rodzice! Przyślijcie pieniądze. Jestem zdrowy. Na święta nie przyjadę, bo robię wycieczkę w góry. Wasz syn..." — to współczesny wzór listu studenta do rodziców. Dominuje tu styl konkretu, piętno na nim wywarł niewątpliwie telegram, w którym musi być jak najmniej słów.**

**Listy pisują do siebie nie tylko krewni, przyjaciele, znajomi, ludzie mający wspólne sprawy i interesy. Listy do klientów pisuje też handel: „Wyszłam do biura", „Jestem na chorobie", „Nie będzie mnie do 14.30", „Przyjęcie towaru" „Inwentaryzacja, przepraszamy", „Remanent". To wszystko są wzory listów handlu adresowanych do klientów. Dawniej prawdopodobnie taki list zaczynał się od zwrotu: „Szanowni Klienci! Z ogromną przykrością zawiadamiamy, że z powodów od nas niezależnych...". Dziś obowiązuje jednak jak najmniej słów i jak najwięcej informacji.**

**Ludzie skarżą się, że ginie sztuka pisania listów. Można to i tak ująć. Niewątpliwie nie pisuje się już takich listów jak na początku naszego stulecia lub jeszcze pod koniec ubiegłego. Ale pisuje się listy. Powiem więcej: kwitnie sztuka pisania telegramów! I mam pewną propozycję, aby tę sztukę trochę ograniczyć. Chodzi mi przede wszystkim o telegramy pisane i wywieszane na drzwiach sklepów, w kioskach „Ruch". Chodzi mi o telegramy informujące, że oto dokonuje się niewątpliwie ważna czynność PRZYJĘCIA TOWARU. Bez dostaw towarów do sklepów nie ma handlu, a z drugiej strony bardzo to ludzi denerwuje, kiedy w ciągu dnia zamyka się sklep, wywiesza się na drzwiach list z treścią: „PRZYJĘCIE TOWARU" i człowiek nie może zrobić najprostszego sprawunku.**

**Czy można uniknąć takiej sytuacji? Można. Jest na to sposób od dawna znany i stosowany z powodzeniem w wielu krajach. Sposób ten nazywa się: nocne dostawy. W wielkich miastach, gdzie sprawność działania skomplikowanego miejskiego mechanizmu jest znacznie wyższa niż w naszym przypadku — tzn. niż w przypadku Łodzi — nocna praca jest czymś nie tylko naturalnym, ale niezbędnym. Inaczej mechanizm funkcjonowania tych miast musiałby się zacinać. Dotyczy to również wielkomiejskiego handlu.**

**U nas sprawa wygląda trochę inaczej. U nas zwyczajem stał się system pracy w ciągu pierwszych 8 godzin dnia. Większość instytucji, urzędów, biur, przedsiębiorstw w tym właśnie czasie spełnia swoje funkcje. Już praca po południu budzi pewne sprzeciwy i stosowana jest tylko tam, gdzie tego wymaga konieczność, gdzie tego wymaga technologia — jak np. w przemyśle — lub, gdzie wymuszają to interesanci i klienci, jak w handlu, usługach, kulturze.**

**Opowiadał mi znajomy dyrektor, że podległe mu przedsiębiorstwo postanowiło w części pracować nocą, jako że ich praca koliduje z ruchem drogowym. Najpierw wszakże trzeba było przełamać opory samych pracowników, później — kiedy to się udało — inicjatywa spotkała się ze sprzeciwem mieszkańców, którzy stanęli na stanowisku, że noc jest do spania i wszelki hałas przeszkadza im w odpoczynku. Nastąpiło zetknięcie dwu racji, z których obie mają swój walor społeczny i w wyniku tego trzeba było ograniczyć lub nawet zlikwidować nocną pracę. Ale w miarę rozwoju miasta nie da się tego typu pracy uniknąć.**

**W Warszawie np. blisko 500 sklepów zaopatruje się już nocą i jak twierdzą niektórzy proces ten nie zakłóca spokoju, o ile — oczywiście — ludzie pracujący tą porą zachowują się kulturalnie i dbają o to, aby nie zakłócać spokoju innych. W Łodzi natomiast zaledwie kilkanaście sklepów i magazynów zaopatruje się w sposób, który nie przerywa ich pracy. Tak zaopatruje się „Uniwersal" i „Central" oraz 22 pawilony i sklepy. To mało, bo transportowcy chcą, aby dać im do dyspozycji tyle sklepów, żeby wystarczyło im pracy na pełnych 8 godzin. I chcą dobrze. Problem znajduje się w centrum uwagi odnośnych władz.**

**Czy rzeczywiście jest to aż taki wielki problem? Okazuje się, że wiele spraw znanych z przeszłości lub stosowanych gdzie indziej, kiedy próbuje się je adaptować do naszych warunków, napotyka na swojej drodze tyle przeszkód i barier, że aż strach pomyśleć. A dzieje się tak dlatego, że człowiek najbardziej przyzwyczaja się do aktualnie stosowanych form działania i wszystko, co te formy narusza, a przez to i wygodę ludzi, ich przyzwyczajenie, wydaje się niemal zamachem na spokojny żywot. Tylko, że bez takich zamachów trudno byłoby o jakikolwiek postęp.**

**Nocne przygotowanie miasta do całodziennego życia jest jednakże nieuniknione i czy obecnie uda się czy też nie uda się przeskoczyć piętrzących się przed tym przeszkód, to będziemy do sprawy ciągle wracali aż stanie się rzeczywistością. Śmiesznie tylko wygląda takie niemal „naukowe" podchodzenie do sprawy, która powinna być oczywista, a problemem powinno być tylko to, aby jak najsprawniej, najrzeczniej i najlepiej wywiązać się z tego zadania. W związku z tym wystosowuję niniejszym mój specjalny list do handlowców i transportowców handlowych w sprawie tego problemu: „Myśl szybciej, rób dokładniej!"**

**MARCIN RODAK**

# MAGAZYN ODGŁOSY

## HENRYK CZARNECKI
# MINIATURY

### OPOWIEŚĆ

Widziałem ją dwukrotnie. W kawiarni. W towarzystwie dużo starszego od niej pana.

To była ona. Ta z wierszy. Z przestrzeni. Wymieniliśmy spojrzenia: zgadzały się rymy.

Wigilijny dzień zaprowadził mnie w drugi koniec kraju. Błąkając się po ulicach — stanąłem nagle. Zobaczyłem ulicę z niedawnego snu. Nigdy nie byłem w tym mieście, więc... I nagle pomyślałem o niej. Gdyby tak wyszła z głębi ulicy...

I wyszła. Realnie.

— Nie dziwisz się chyba, że podszedłem do ciebie?

— Nie. Wiedziałam, że cię tu spotkam. Widziałam tę ulicę we śnie.

Ona też nigdy tu nie była, więc...

Czego oczekujesz jeszcze czytelniku? Zakończenia wigilijnego opowiadania? Po co? Dzień wigilijny jest przecież pełen czarów, więc...?

### BOSO

Szczęście wymaga intymności. A najbardziej intymnie czuje się człowiek boso. Bez butów staje się nagle bezbronny. A poddając się należy odrzucić wszystko. Na szczęście patrzy się z dołu. Niech przygniecie.

Człowiek bez butów czuje się mały. Niedostrzegalny w magazynie świata. Wszyscy szczęśliwi powinni czuć się boso. Nawet w butach.

Boso traci się wszystko co obce. Całą nabytą elegancję. Zakupioną w sklepie godność. Pozostaje — własna.

Chyba dlatego ludzie śpią boso.

I są szczęśliwi...

### NIESTETY

Odnaleźliśmy się także i pod wodą. Podpłynąłem do niej uśmiechnięty.

Ale był to rekin.

Ryba.

Szkoda. Był postny piątek, więc nie mogłem go zjeść.

Nie zjadłem.

Nie wypadało. Jestem przecież ateistą.

Niestety: on też był niewierzący.

### GŁÓWNA WYGRANA

Powiedziałem mu, że głupi ludzie mają szczęście. Natychmiast wypełnił kupon „Totolotka" i wygrał milion.

I odmówił przyjęcia wygranej.

Żeby udowodnić, że jest mądry.

Istotnie...

### MADONNA Z KWIATKIEM

To ona nacisnęła przycisk. Prąd pobiegł pod tory i z rozbitych wagonów odezwały się jęki rannych żołnierzy.

Partyzanci ostrzelali jeszcze pociąg i wycofali się do lasu. Gdy wsiadali do samochodu Jur zerwał leśny kwiat i podał go tej dziewczynie. Ujęła kwiat obiema rękami i pochyliła nad nim głowę.

W blasku zachodu wyglądała jak Madonna z kwiatkiem.

*Foto: L. Janczak*

# MAŁE KINO

*„Najlepsze te małe kina..."*
*K. I. G.*

### WESOŁE BALKONY!

Jakże smutno i monotonnie wyglądają nasze balkony... Ożywia je jedynie wietrząca się puchowa kołdra. Dosyć, tak dłużej nie wolno! Od jutra każda rodzina zbiera się po południu na swoim balkonie, by z pamięci odegrać sceny z obejrzanego filmu. Przechodnie oraz sąsiedzi, winni żywo dyskutując, zgadywać, jaki to film. Oszukiwać nie wolno. Natomiast wolno przy odgrywaniu sceny z polskiego filmu historycznego, włożyć dziadkowi na głowę koronę z papieru. Nie zaleca się odgrywanie scen z filmów dozwolonych od lat 18, gdyż niezmiernie łatwo wówczas o przeziębienie.

### SŁONE PALUSZKI

Znana gwiazda filmowa Zusa Gepard miała po dziewięć palców u jednej dłoni. Niestety, pomimo najlepszych chęci gwiazda nie potrafiła wyzyskać tego faktu w pracy zawodowej. Powyższe budziło smutek gwiazdy. Na szczęści. zaproponowano Zusie w nowym filmie rolę żony marynarza. Będzie ona liczyć na palcach, ile miesięcy dzieli ją od przyjazdu małżonka, mylić się i liczyć od nowa. W nagrodę wierny małżonek przywiezie jej zza oceanów wiele naparstków.

### NASI ZA GRANICĄ

Pewien turysta polski, przebywający czasowo w Hamburgu, zażądał od Kierownika miejscowego kina pornograficznego wydania mu Książki Życzeń i Wniosków. Po jej otrzymaniu turysta polski dokonał wpisu, w którym żądał kategorycznie wycofania filmów pornograficznych, a postulował wprowadzenie na ich miejsce filmów z życia zwierząt lub o skorupie ziemskiej. Po dokonaniu wpisu turysta polski oddalił się w kierunku ojczyzny.

### NA MCHU I NA STOJAKA

Leśniczy z Borów Żagańskich pan Jan Nastula lubi wyciągnięty na mchu rozmyślać, co można by polepszyć w naszej kinematografii. Wzruszone tym kierownictwo naszej kinematografii postanowiło rozpocząć na stojąco rozmyślania, co można by polepszyć w Borach Żagańskich u pana Jana Nastuli. Obie strony zobowiązały się po wymyśleniu zaprzestać rozmyślań.

### GARBATE SZCZĘŚCIE

Grupa scenarzystów opracowała ostatnio miły film współczesny z czasów ostatniej wojny. Bohaterką filmu jest Zosia garbuska, która gości wesołych partyzantów. Jeden z partyzantów sympatycznie żartuje, iż ożeniłby się z Zosią, tylko mu garb przeszkadza. Pod wpływem ambicji i wesołego towarzystwa Zosia gubi garb i pięknieje do tego stopnia, że nastąpi tu wymiana aktorki. Niestety, w przeddzień zakończenia wojny, Zosia przez pomyłkę udławiła się nitką, którą przewleczone były przez faszystów suszone grzyby.

ANDRZEJ CZEKALSKI

*Jaga Paduch*

*Fot.: M. Guz*

# POWIĘKSZENIA

### OPINIA

Trochę straciliśmy zaufanie do profesora Zina. Niedawno wypowiedział on opinię dość dziwnie brzmiącą w ustach historyka architektury. Stwierdził mianowicie, że XIX wieczna architektura przemysłowa jest nieciekawa i brzydka. Jako przeciwwagę pokazał nam sztampowe hale współczesnych zakładów, budowane ze zunifikowanych elementów.

Tak to jest, kiedy ktoś chce być nowoczesny za wszelką cenę.

### POLEMIKI, POLEMIKI

**Jerzy Milewski** polemizuje w **„Życiu Literackim"** z decyzjami rektorów dwu wyższych uczelni w Polsce. Otóż rektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu wydał... **nakaz, aby wszyscy studenci zapisali się do ZHP.** Przymusowo! Natomiast rektor AM w Łodzi nakazał, aby **studenci obowiązkowo wykazywali się opieką nad chorymi rencistami.**

Oba zamysły w idei słuszne, w praktyce stawiają problem na głowie. I tu Milewski ma rację. Dziwne jest natomiast co innego. Przy okazji publicysta „Życia Literackiego" polemizuje z prof. dr **Henrykiem Jankowskim** tytułując go — nie wiedzieć czemu — docentem. Zresztą sam polemista jest niezdecydowany. Raz pisze o Jankowskim per „profesor", raz per „docent". Jeśli to kogo interesuje Jankowski jest profesorem.

### WARSZAWSKIE TEMPO

Dwa lata temu **Alina Słomkowska** opublikowała arcyciekawą książkę **„Dziennikarze warszawscy. Szkice z XIX wieku"**. Pisaliśmy wówczas o tej książce.

Ostatnio w warszawskiej **„Kulturze"** znaleźliśmy recenzję z tej znakomitej publikacji. Po dwóch latach! Iście warszawskie tempo!


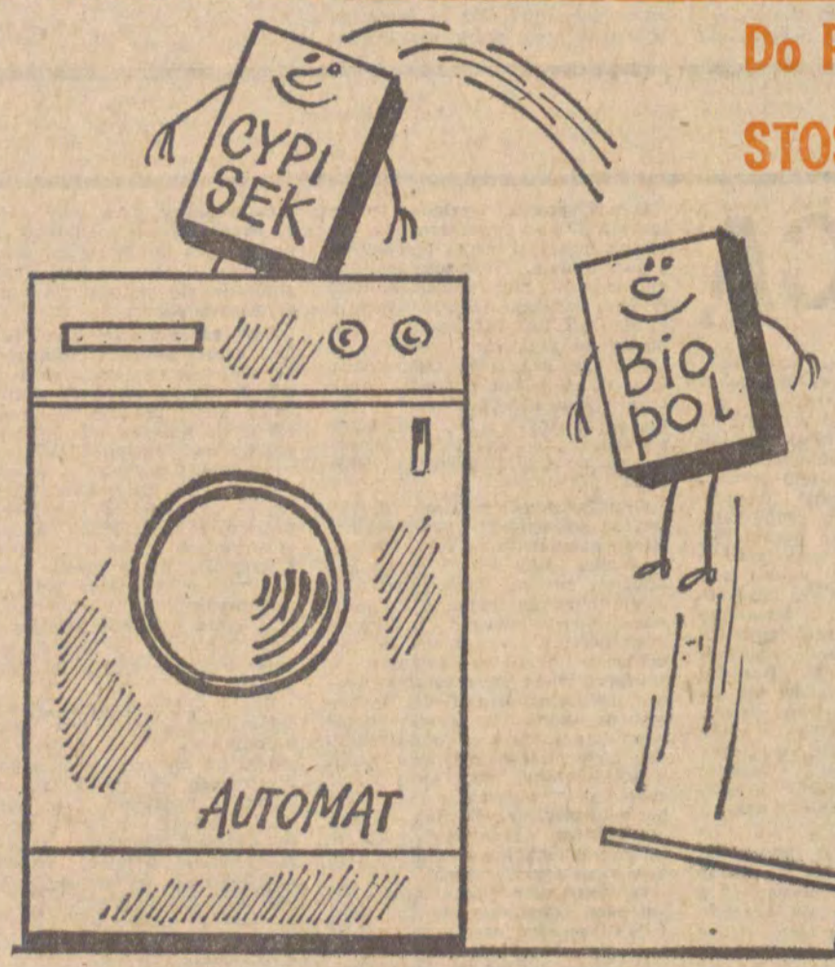


Do PRALEK automatycznych
STOSUJ PROSZKI...

ZAPRASZAMY DO SKLEPÓW

429/k


# TAŃCE POLSKIE

Rysował: ADAM KUCZYŃSKI

ODBIJANY


Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Od głosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Zam. 216. R-2. Nr indeksu 26762.